MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 21 WARSZAWA, 17 MAJA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

ODŻYDZENIE WSI

PUBLIKOWANE z wielkiem opóźnieniem wyniki spisu ludności z grudnia 1931 r. odsłaniają nam niezmiernie ciekawy obraz ucieczki żydów ze wsi polskiej i, niestety, przenoszenia się żydów do miast, zwłaszcza większych.

Już i w latach dawnych żydzi woleli trzymać się miast, ale szynk, sklepik i kontakt z dworem (pachciarz) przyciągały żyda i do wsi. Tylko Wielkopolska, Śląsk i Pomorze nie dały się na dłużej zażydzić. I tam jednak w r. 1910 było jeszcze żydów: w Poznaniu 4%, w Kępnie, Lesznie, Obornikach, Ostrowie, Bydgoszczy, Czarnkowie, Gnieznie, Grudziądzu i Toruniu 2%, w prawie wszystkich innych powiatach 1%. Służyli oni Niemcom. *Statist. Jb. f. preuss. St.* z r. 1913 notuje: na 1000 żydów w rejencji Poznańskiej za Polaka uważał się 1 żyd, w rej. Bydgoskiej nie było ani jednego żyda-Polaka.

Pierwszy spis polski z r. 1921 podaje: w woj. Pomorskiem było żydów w miastach 2,164, na wsi 540 — razem 2,927 na 935,643 mieszkańców, czyli 0,3%, a na wsi 0,1%; w woj. Poznańskiem było żydów w miastach 9,874, na wsi 523, razem 10,397 na 1,967,865 mieszkańców, czyli ponad 0,5%, a na wsi jeden na 3,000 mieszk. Wyników spisu z r. 1931 dla tych dwu województw dotąd nie ogłoszono. Na ogół ilość żydów w miastach zachodnich raczej wzrosła (Gdynia!), na wsi zmalała. Wieś pomorska i wielkopolska jest więc oddawna już wolna od żydów. Nie zawsze tak jednak było. Prof. Kutrzeba w swojej pracy o żydach na ziemiach zachodnich tuż po rozbiorach Rzplitej wskazywał na wielkie zażydzenie tej części Polski, dochodzące do 8%. Podjęta walka między Polakami a Niemcami odbiła się na żydach. Źródła niemieckie (Brämer lub *Preuss. Statistik)* podają, iż w porównaniu lat: 1867 i 1910 zmalała liczba żydów: o 0 — 25% w 1 powiecie, o 25 — 50%, w 6 powiatach, o 50 — 75% w 40 powiatach, ponad 75% w 26 powiatach.

Obydwa Śląski, jak mogły, dotrzymywały towarzystwa obu województwom zachodnim. W r. 1910 górnośląska część Polski wykazywała przeciętnie 1% żydów, a cieszyńska 2,6%. Ostatni spis z r. 1931, dla Śląska już ogłoszony, stwierdza fakt bardzo pomyślny: wieś górnośląska jest niemal całkowicie odżydzona. Powiat Katowicki wykazuje na wsi 0,4% żydów, Pszczyński 0,1%, Tarnowsko-górski 0,1%, inne powiaty nie notują żydów zupełnie. Zapewne niewielka ich liczba mieści się w ogólnej rubryce „inni", których cała śląska wieś wykazuje 2,201. Na Śląsku cieszyńskim na wsi pow. Cieszyńskiego jest 252 żydów (0,4%), pow. Bielskiego 1,176 (0,6%).

Gorzej jest w miastach. Bielsko ma 4,430 żydów (19,8%), Katowice 5,716 (4,5%), Mysłowice 463 (2%), Cieszyn 1,688 (8%).

Razem, prócz „innych", ma cały Śląsk 17,583 żydów, z tego wieś tylko około 1,600, z „innymi" do 2,500, a więc poniżej 0,3%.

Naogół również dobrze trzyma się wieś w województwach Polski centralnej. Pełne wyniki spisu z lat: 1921 i 1931 mamy tylko dla woj. warszawskiego.

Rok 1921 wykazał żydów w miastach województwa warszawskiego 157,937, na wsi 45,488, razem 203,425. W r. 1931 było ich w miastach 173,583, na wsi 45,171, razem 219,554. Daje to niespełna 3% żydów na wsi. Właściwy obraz rozmieszczenia żydów w tem województwie przesłania nam powiat Warszawski. W r. 1921 było tam żydów na wsi 7,364, w miastach 14,416, razem 21,780; w r. 1931 jest ich na wsi aż 16,460, w miastach 19,276, razem 35,736. Odliczając powiat Warszawski, okaże się, że w reszcie powiatów liczba żydów, zamieszkałych na wsi, spadła w ciągu 10 lat nie tylko procentowo, ale i ilościowo, a to o 9,000 głów. Największym sukcesem pochwalić się mogą wsie powiatów: Sierpc z 3,125 na 933, Rawa z 2,425 na 948, Kutno z 1,616 na 311, Gostynin z 1,153 na 592. Pozatem powiat Włocławek ma zaledwie 34 żydów na wsi, Skier-

niewice poniżej 200, Rypin 209, Ciechanów 335, Przasnysz 384. Natomiast miasta województwa warszawskiego prawie wszystkie wykazują zwiększoną liczbę żydów. Tylko kilka zdołało ich liczbę zmniejszyć nie tylko procentowo, ale i ilościowo: Gostynin o 333, Lipno o 236, Łowicz o 178, Nieszawa o 18, Płock o 622, Rypin o 112. Mały odsetek żydów zamieszkuje na wsi w innych województwach centralnych. Dla nich jednak mamy tylko spis z r. 1921. Nie ulega jednak wątpliwości, iż w ciągu 10 lat, dzielących obydwa spisy, proces odżydzania wsi polskiej dość znacznie posunął się naprzód, dziś jest lepiej, niż głosi stara statystyka.

Woj. krakowskie miało w r. 1921 żydów w miastach 119,865, na wsi 33,061, razem 152,926. Żydzi stanowią 2% mieszkańców wsi.

Woj. kieleckie miało żydów 195,250 w miastach i 105,239 na wsi, razem 300,489; daje to 2% żydów wśród mieszkańców wsi.

Woj. łódzkie miało żydów w miastach 283,105, na wsi 43,868, razem 326,973. Daje to dla wsi 3% żydów.

Woj. lubelskie miało żydów w miastach 171,542, na wsi 116,097, razem 287,639. Na wsi daje to 2,5% mieszkańców wsi.

Woj. białostockie miało żydów w miastach 146,392, na wsi 47,571, razem 193,963. Daje to dla wsi 2% żydów.

Inaczej wyglądają województwa północno-wschodnie.

Pewien wyjątek stanowi wśród nich tylko woj. wileńskie.

Woj. wileńskie w r. 1921 nie było objęte ogólnym spisem. Posiadamy natomiast statystykę z r. 1931. W r. 1931 miało ono 110,796 żydów, z tego w miastach 76,218, na wsi 34,578. Dla wsi daje to 4% żydów, procent zbliżony do innych czysto polskich województw.

Woj. wołyńskie w ciągu 10 lat podwyższyło liczbę żydów z 164,740 na 218,584, w tem wieś z 44,753 na 94,554. Daje to dla wsi blisko 8%.

Woj. nowogródzkie miało w r. 1921 żydów razem 74,334, a w r. 1931 — 82,872. Na wsi było ich w r. 1921 — 26,914, w r. 1931 — 39,197. Daje to dla wsi 6% żydów.

Woj. poleskie miało w r. 1921 żydów na wsi 30,714, w miastach 79,925, a w r. 1931 na wsi 40,856, w miastach 73,152. Dla wsi daje to 7% żydów.

Zbliża się nieco do nich województwo południowe, stanisławowskie. Miało ono żydów w r. 1921 na wsi 42,443, w miastach 89,473, razem 131,916; w r. 1931: na wsi 46,133, w miastach 123,722, razem 169,855. Dla wsi daje to 4,5%.

Województwa lwowskie i tarnopolskie zbliżają się znowu swem obliczem do województw centralnych.

Woj. lwowskie miało żydów: w r. 1921 na wsi 97,101, w miastach 225,713, razem 322,814; w r. 1931: na wsi 84,590, w miastach 257,815, razem 342,405. Dla wsi daje to 4% żydów.

Woj. tarnopolskie miało żydów: w r. 1921 na wsi 47,092, w miastach 81,873, razem 128,965; w r. 1931: na wsi 39,862, w miastach 94,255, razem 134,117. Dla wsi daje to 3%.

Dla wszystkich 7 województw wschodnich posiadamy już wyniki ostatniego spisu.

Dla podkreślenia ataku żydów na miasta podaję ilości żydów dla paru wielkich miast: Lwów w r. 1921 — 76,854, w r. 1931 — 99,595, Kraków w r. 1921 — 45,229, w r. 1931 — 56,515, Warszawa w r. 1921 — 310,334, w r. 1931 — 352,659, Łódź w r. 1921 — 156,155, w r. 1931 — 202,497, Wilno w r. 1923 — około 44,000, w r. 1931 — 55,006.

Wnioski łatwo wyciągnąć z powyższych liczb: im społeczeństwo jest lepiej uświadomione i bogatsze, tem łatwiej pozbywa się żydów. Ciemne, niezorganizowane, narodowo nieuświadomione kresy prawosławne w województwach: wołyńskiem, poleskiem i nowogródzkiem, a w pewnej mierze i grecko-katoliccy Huculi w Stanisławowskiem nie mogą zrzucić z siebie jarzma żydowskiego.

Przedwojenna jeszcze praca towarzystw oświatowych i spółdzielni, kas Raiffeisena i gminnych, kółek rolniczych i mleczarń, która ogarnęła wieś polską, a częściowo i rusińską, doskonale przygotowała grunt dla wyzbycia się żydów ze wsi. Zniesienie szynków w starej formie i zmniejszenie się pijaństwa na wsi wogóle podcięły potężną gałąź żydowską. Zmiany polityczne dały masom chłopskim poczucie gospodarza w ojczyźnie. Zamknięcie granic dla emigracji zatrzymało w kraju materjał ludzki, bardziej ruchliwy i przedsiębiorczy. Także i zdolniejsi, którzy dawniej garnęli się do szkół, zostają teraz na wsi. Na naukę w miastach nie stać ich. To wszystko wytworzyło warunki do zupełnego oczyszczenia wsi z żydów w całej Polsce.

Stronnictwo Narodowe, które podjęło się zrealizowania tego planu, ma grunt całkowicie przygotowany. Plan wyrugowania ostatniego żyda ze wsi jest w stu procentach realny.

Słabym punktem tej akcji jest ogarnięcie przez żydów pośrednictwa handlowego na nieco wyższym szczeblu, w miastach i miasteczkach. I tu jednak żydzi długo utrzymać się nie zdołają. Muszą iść dalej. I już idą. Cały szereg miasteczek, podobnych często do wsi, wykazuje tendencję spadkową dla żydów. Procent żydów opada. Ściągają oni ze wsi do miasteczek, z miasteczek do miast. A z miast — wiedzie droga w szeroki świat. Świadczy o tem wzmagająca się fala emigracji do Palestyny. W ciągu 9 lat rządów „sanacji" wyjechało do Palestyny 57 tysięcy żydów, z tego w r. 1933— 10 tys., w r. 1934 — 12 tys., w r. 1935 — 24 tys.

Teren oczyszczony z żydów winien być odpowiednio organizowany. Spółdzielnie mogą odegrać tu pierwszorzędną rolę. Wiele z nich zachwiało się w ciągu lat kryzysowych. Zachwiały się jednak nie te małe po wsiach i miasteczkach, a wielkie. Dla podniesienia gospodarczego nasze małe, wiejskie, małomiasteczkowe spółdzielnie mają decydujące znaczenie. Zwłaszcza spółdzielnie kredytowe. Drugą podstawą pracy muszą być ludzie, młodzi, fachowi, zapaleni, ideowi. Ruch narodowy musi skupić te żywioły, dać im kierunek, pomoc, organizację. Liczne kursy fachowe pokryć muszą kraj cały.

Ludzie i spółdzielnie ze wsi sięgną wyżej do miast i kraju całego. Dopomogą sterroryzowanym mieszkańcom miast do podjęcia skuteczniejszej niż dotąd walki z zalewem żydowskim.

Trzy objawy świadczą o cofaniu się żydów w Polsce: zmniejszona liczba urodzin, zwiększona emigracja, ucieczka ze wsi i miasteczek.

Rozbudzona świadomość narodu dokona reszty.

STANISŁAW RYMAR

AMERYKA GINIE Z NADPRODUKCJI

O AMERYCE Północnej, kraju nieskończonych możliwości[1]), nowym punkcie ciężkości gospodarczego życia globu, pisano w starej Europie wiele i przeważnie przychylnie. Szereg pisarzy europejskich dawał w studjach ekonomicznych i psychologicznych, w fejletonach, listach z podróży, wreszcie w powieściach wyraz swemu szczeremu podziwowi z powodu mnogości rzekomych „zalet” narodu amerykańskiego, a więc jego przedsiębiorczości, rzutkości, mocnych nerwów i optymizmu, które były przyczyną wszechświatowo znanej „*American Prosperity*”. Materjalistyczna cywilizacja Ameryki, przejawiająca się w kompletnej mechanizacji i automatyzacji rozległego i bogatego kontynentu amerykańskiego wprawiała przez długi czas w osłupienie przeważającą część autorów europejskich, którzy, przywykłszy już chociażby ze względu na geograficzną strukturę oraz stosunkowo ograniczone zasoby starego świata, do liczenia się z przestrzenią i wartością surowców, stawali oszołomieni przed ogromem t. zw. amerykańskiego rozmachu, tak właściwego wszelkim poczynaniem mieszkańców drugiej półkuli.

Z czasem jednak, nawet w okresie poprzedzającym depresję gospodarczą, w atmosferze powszechnego i przeważnie powierzchownego zachwytu zaczęły pojawiać się głosy rzeczowej krytyki, dostrzegające pod efektowną powłoką dobrobytu głębokie rysy coraz wyraźniej czerniejące na fundamentach gospodarczych potęg Północno-Amerykańskich. Pamiętne jeszcze obecnie jest ogólne poruszenie, które przed paru laty wywołała wydana w Paryżu książka Duhamel'a p. t. „*Scènes de la vie future*”, w której autor, przeciwstawiając w bezwzględny zresztą i jednostronny sposób amerykańskie zmechanizowanie francuskiemu indywidualizmowi, poddał bezlitosnemu pręgierzowi swej ironji ustrój społeczny, obyczaje i zapatrywania społeczeństwa amerykańskiego.

Bez porównania poważniejszem i dlatego dla Ameryki niebezpieczniejszem choć mniej agresywnem było dzieło znanego ekonomisty francuskiego, specjalisty w zagadnieniach anglo-saksońskich prof. Andrè Siegfrieda, p. t. „*Les Etats Unis d'aujourd'hui*“. W książce tej autor w formie naukowo, sumiennie opracowanego studjum psychologiczno-ekonomicznego, dał objektywny obraz współczesnych Stanów Zjednoczonych w chwili najpomyślniejszej konjunktury gospodarczej (książka napisana została w r. 1928); tem znamienniejszy jest fakt, iż autor, nie dając się unieść pozorom wybujałego życia amerykańskiego, pozostaje zawsze na stanowisku badacza, nie uchylającego się, ile razy to było konieczne, od rzeczowej, w subtelną formę przyodzianej krytyki.

Czasy się zmieniły; Stany Zjednoczone i Kanada podobnie jak i reszta świata pogrążone są obecnie w głębokiej, ekonomicznej depresji. Zmienił się również naogół ton prasy i publicystyki europejskiej, która na przysłowiową, dotychczas w opinji świata niezachwianą „*prosperity*” amerykańską coraz mniej zachwyconem poczyna spoglądać okiem.

Wśród licznej literatury na temat gospodarczego przesilenia w Północnej Ameryce na baczną uwagę zasługuje świeżo w Berlinie wydana książka Q. E. Johanna, p. t. „*Amerika Untergang am Überfluss*“. Jak się wyraźnie zastrzega w przedmowie autor, książka ta nie zawiera tanich „amerykańskich” sensacyj o bandytach, przemytnikach alkoholu i t. p., których zwykł poszukiwać chciwy wrażeń przeciętny czytelnik; nie jest to również w ścisłem tego słowa znaczeniu studjum ekonomiczne. Aby zainteresować, a równocześnie poinformować i nauczyć czytelnika, autor uciekł się do formy piśmiennictwa współczesnego, poczynającej cieszyć się ogólną popularnością, — t. j. do t. zw. reportażu. Książka Johanna, którą nie bez pewnej dozy słuszności uważać można za odwetową odpowiedź na podobną co do formy i założeń książkę o współczesnych Niemczech znanego dziennikarza amerykańskiego Knickerbockera p. t. „*Deutschland so, oder so?*” uderza swoją prawdziwością. Johann zna Amerykę, jako typowy „*Self made man*” przemierzył on kilkakrotnie kontynent amerykański bądź to luksusowym pullmanem pociągu pośpiesznego, bądź samochodem, bądź też wreszcie—jako ubogi „traper”—włóczęga.

To też w chwili kiedy przemożna Ameryka także z kolei drżeć poczęła przed zmorą bezrobocia, do Johanna, jako do eksperta wybornie znającego ludzi i stosunki nowego świata, zwróciła się berlińska „*Vossische Zeitung*” z propozycją udania się do Ameryki, celem ustalenia rozmiarów bezrobocia nietylko w przemyśle, lecz także i w rolnictwie amerykańskiem, — naocznego przekonania się o warunkach, w których bytują ci wytrąceni z normalnego trybu życia ludzie, oraz zorjentowania się, jak dalece niebezpieczna dla nadwyrężonego przesileniem amerykańskiego ustroju społecznego jest idea komunistyczna.

Autor z powierzonego sobie zadania wywiązał się sumiennie; nie szczędził trudów, zawierał stosunki nowe, odnawiał dawne znajomości, mówił z mężami stanu, dyrektorami, bankierami, dziennikarzami, farmerami, włóczęgami, komunistami, murzynami, a przedewszystkiem z szarą, nieznaną masą bezrobotnych, z którymi przestawał w ich codziennem, monotonnem i beznadziejnem

[1]) Autor niniejszego szkicu, ś. p. Bogdan Zaniewski, zginął 12 października 1935 r. wskutek katastrofy samochodowej w 30 roku życia. Śmierć zaskoczyła go w Ameryce, gdy zwiedzał Stany Zjednoczone dla celów naukowych. Zajmował wtedy stanowisko *attaché* w ambasadzie polskiej w Waszyngtonie. Miał przed sobą wspaniałą karjerę dyplomatyczną, jako jeden z najzdolniejszych, najpracowitszych i wszechstronnie wykształconych pracowników.

W odesłanych do kraju papierach młodego dyplomaty znalazła się i ta rozprawka, napisana w roku 1932, kiedy był urzędnikiem w polskim Konsulacie Generalnym w Berlinie i nie znał jeszcze Stanów Zjednoczonych. Jakieś chyba przeczucie, że się tam znajdzie na ważnem stanowisku, kierowało jego zainteresowaniami, bo jeszcze dawniej, w r. 1929, kiedy kończył studja naukowe w Antwerpji, a potem w Paryżu, napisał obszerną rozprawę p. t. „Imperjalizm amerykański”, którą ogłosiliśmy w nr. 54, 55 i 56 „Myśli Narodowej” z r. 1929.

Jak się przekonamy, charakterystyka Ameryki, „ginącej od nadprodukcji” nie straciła na aktualności. Stosunki mogły się tylko pogorszyć od tego czasu. Jakże ciekawe dzieło mógłby napisać o Ameryce, gdyby nie ta śmierć tragiczna, spowodowana niedbalstwem administracji drogowej stanu Ohio. Tragicznie skończyły się studja nad Ameryką. Z żalem i smutkiem zamieszczamy ten szkic z r. 1932, bardzo interesujący dla czytelników, a dla blizkich i tych, którzy znali autora, stanowiący cenną pamiątką. Red.

życiu, których był uważnym, rozumiejącym powiernikiem; niestrudzony rejestrator wrażeń podróżował samochodami potentatów finansowych oraz za tanie pieniądze kupionym, rozklekotanym Fordem, wagonami pociągów towarowych, miewał zatargi z policją, a przytem oczy miał zawsze szeroko otwarte.

Jak tytuł książki wskazuje, Johann źródło kryzysu amerykańskiego widzi w nadprodukcji najważniejszych surowców: pszenicy—w Kanadzie, nafty, węgla, pszenicy i bawełny w Stanach Zjednoczonych; kryzys powoduje bezrobocie, bezrobocie zaś stanowi zaś stanowi podatny podkład dla komunizmu, który dla bezpieczeństwa Stanów jest, zdaniem autora, coraz poważniejszym znakiem zapytania. To myśl przewodnia książki. Jeśli chodzi o Stany Zjednoczone, to do pogłębienia przesilenia przyczyniają się również w niemałej mierze problemy, które jako nie ściśle ekonomicznej natury, zajmują w książce Johanna miejsce drugorzędne, które jednak w życiu amerykańskiem odgrywają nie byle jaką rolę; są niemi: prohibicja oraz kwestja murzyńska.

Ze względu na wyjątkowo obszernie potraktowany przez autora materjał, ograniczyć się należy do kilku najtypowszych, wymienionych przez niego przykładów nadprodukcji, dającej się obecnie tak dotkliwie we znaki Stanom Zjednoczonym; najwymowniejszym jej przejawem jest kryzys w rolnictwie amerykańskiem, który Johann wyczerpująco omawiu w rozdziale p. t. „Zmotoryzowana pszenica". Po trafnem wykazaniu szeregu zmian, które z biegiem czasu zaszły w uprawie pszenicy, wskutek czego zboże prosto z pola może obecnie być załadowane na wagony, w formie zdatnej do spożycia, bez pomocy rąk ludzkich, jedynie za pośrednictwem szeregu maszyn, autor dochodzi do wniosku, iż w miarę postępu mechanizacji rolnictwa cena pszenicy coraz bardziej spada poniżej kosztów produkcji. Wprawdzie maszyny ułatwiły znacznie farmerowi ciężką pracę codzienną,—podkopały jednak równocześnie warunki jego istnienia.

Owo na pozór paradoksalne twierdzenie popiera autor szeregiem argumentów: ze względu na to, iż zakup udoskonalonych maszyn rolniczych, będących w Ameryce w powszechnem użyciu, wymaga znacznych wydatków, około 40,000 dolarów, stosunkowo często odnawianych ze względu na szybkie zużywanie się maszyn, farmer musi na amortyzację maszyn przeznaczać sumy nader wysokie, rocznie 10,000 dolarów, które często czynią rentowność gospodarki problematyczną. Z drugiej strony, maszyny, umożliwiając uprawę farm leżących przedtem odłogiem oraz uwalniając farmera od troski o siły robocze, wywołały w krótkim czasie tak potężny wzrost produkcji pszenicy w ciągu ostatnich 5 lat, iż nie można na nią znaleźć rynku zbytu.

Kosztowne maszyny, opłacające się jedynie przy wielkich przestrzeniach na tą samą uprawę, przyczyniły się również do tego, iż farmer, który cały kapitał swój zaangażował na ich zakup, nie jest w stanie uprawiać innego rodzaju zboża, poświęcać się hodowli zwierząt domowych i t. p., a przez to samo, w razie niepomyślnej konjunktury na pszenicę, staje się mało odporny na kryzys; nie może on również w razie spadku cen ograniczać produkcji, przeciwnie musi zwiększać uprawę, aby w ten sposób pokryć straty; maszyny bowiem, zakupione na raty, muszą być stale spłacane. Jest rzeczą jasną, iż postępowanie to przyczynia się do jeszcze większego spadku cen i zaostrzenia kryzysu. Wysokie koszty zakupu maszyn pozostają niezmienione nawet wtedy, gdy niespodziewane zmiany atmosferyczne zniszczą zbiory; rolnictwo w takich warunkach staje się przedsięwzięciem nadzwyczaj ryzykownem.

Punktem kulminacyjnym wywodów autora jest ostatni przez niego przytoczony argument: dzięki nadmiernemu zastosowaniu maszyn w rolnictwie, stało się ono pewnym rodzajem przemysłu, zabijającym produkcję jednostek, fabryką, wyrabiającą pszenicę. Jest rzeczą obecnie zbędną, aby farmer stale mieszkał na wsi. Wystarczy, jeśli dwa razy w roku kilku robotników uprawi ziemię sprowadzonemi na ten okres z miasta potężnemi maszynami. W chwili ich zakupu tworzy się w mieście towarzystwo akcyjne, które oprócz maszyn nabywa niauprawione dotychczas tereny. Im większa przestrzeń uprawna, tem lepsze zastosowanie maszyn, tem łatwiejsza ich amortyzacja. Zwiększenie przestrzeni uprawnej jednak wywołuje nadprodukcję, stąd wynika załamanie się cen, zaostrzenie kryzysu i bezrobocia.

Drugim amerykańskim artykułem rolniczym, *„par excellence"* eksportowym jest, jak wiadomo, bawełna. Jak katastrofalnie przedstawiają się warunki produkcji w tej dziedzinie rolnictwa, zrozumieć łatwo, jeśli się zważy, iż tego produktu ceny, wynoszące jeszcze w lutym 1931 r. 12 centów za funt bawełny surowej, spadły w październiku tegoż roku do 5 centów za funt. O ile mechanizacja uprawy pszenicy jest posunięta do najdalej osiągalnych obecnie technicznych granic, o tyle uprawa bawełny spoczywa jeszcze dotąd przeważnie w rękach ubogich rolników i dzierżawców, murzynów,—w większości wypadków analfabetów, którzy pracują od dziecka na polach bawełnianych i o niczem innem pojęcia nie mają. Oczywiście, o jakiejkolwiek bądź planowej gospodarce nie może być w takich warunkach mowy. Im bardziej ceny spadają, tem więcej i tem częściej w roku na polach bieleją bawełniane włókna; plantatorzy bowiem usiłują drogą zwiększenia produkcji pokryć straty, wywołane spadkiem cen. Do beznadziejności położenia przyczyniło się również ostatnio wynalezienie maszyny do zrywania bawełny. Maszyna ta, która wykonywać będzie w 3 godziny robotę, dla której wykonania jeden robotnik, murzyn potrzebował uprzednio 77 godzin pracy, zostanie wprowadzona tem wcześniej, im bardziej gwałtownie spadać będą ceny bawełny aby w ten sposób porobić oszczędności na robociźnie. W ten sposób 4 miljony i bez tego przymierających głodem murzynów, zatrudnionych na polach bawełnianych, zostaną wkrótce bez pracy.

Niemniej zatrważająco przedstawia się sytuacja w nafcie, węglu, oraz innych gałęziach produkcji. Na tle ogólnego załamania się cen oraz wynikającego stąd zastoju zarysowuje się przerażająco sylweta bezrobocia. „Nik nie wie, ilu ich jest. Nikt nie wie, z czego żyją. Nikt nie wie, gdzie mieszkają. Nikt nie wie, czy kiedykolwiek uda im się coś zarobić". Temi pełnemi gorzkiego pesymizmu słowami rozpoczyna Johann rozdział swej książki, traktujący o bezrobociu. Autor przytacza parę cyfr: oficjalne dane statystyczne, mówiąc o 6, względnie 8 miljonach bezrobotnych, nie zasługują, zdaniem autora, na bezwzględne za-

ufanie; według danych komunistycznych, liczba poszukujących pracy waha się w Stanach Zjednoczonych pomiędzy 15 a 16 miljonami. Specjalni znawcy stosunków amerykańskich obliczają cyfrę niezatrudnionych na 12 do 13 miljonów, autor przychyla się do zdania tych ostatnich.

Tragizm jednak tej samej przez się wysokiej liczby pogłębia się znacznie, jeśli się zważy, iż według oceny *American Federation of Labour*, robotnik dotychczas jeszcze zatrudniony może utrzymać oprócz siebie zaledwie jedną osobę i że ilość robotników pracujących po parę dni w tygodniu dorównuje cyfrze bezrobotnych. Z danych tych wysnuwa autor wniosek, iż z początkiem wiosny r. 1932—40 do 50 miljonów amerykan, t. j. $^1/_3$ ludności Stanów Zjednoczonych cierpiało w mniejszym lub większym stopniu nędzę. Dola owych częściowo lub całkowicie pozbawionych pracy ludzi, których poziom życiowy był przed kryzysem nadzwyczaj wysoki, jest tembardziej nie do pozazdroszczenia, jeśli się weźmie pod uwagę, iż w r. 1931 zbankrutowało w Stanach Zjednoczonych 2,290 banków.

Większość potraconych w ten sposób, względnie na nieprzewidziany okres czasu unieruchomionych wkładów stanowiły oszczędności drobne robotników, którzy przez to pozbawieni zostali środków do życia w chwili, kiedy wielu z nich straciło zajęcie. Rozpoczęła się wówczas rozpaczliwa wędrówka z jednego do drugiego krańca olbrzymiego kontynentu amerykańskiego w poszukiwaniu roboty. Całe masy mężczyzn poczęły przebiegać kraj wzdłuż i wszerz, żebrać pracy. Ojcowie rodzin, nie mogąc utrzymać żony i dzieci, pozostawiali swych bliskich na łasce losu, wychodząc z założenia, iż opuszczone przez swoich żywicieli rodziny łatwiej znajdą wsparcie amerykańskich organizacyj filantropijnych, dających dowody świetnej żywotności wśród powszechnej depresji.

Opowiadania tych bezdomnych biedaków, przemierzających setki mil w upartej pogoni za chlebem, które autor skrzętnie notował podając przy każdem z nich nazwiska i adresy swych przygodnych informatorów, odsłaniają przed czytelnikiem cały ogrom nędzy, w jakiej znalazła się prawie nagle tak poważna część doniedawna opływającego w dostatki narodu. Opowiadania te, rozpaczliwie do siebie podobne, zawierają wszystkie jedno i to samo zdanie, pojawiające się wciąż w różnych warjantach: „nie wiem gdzie dziś będę spał i co jadł. Większą część dnia spędzam, wystając w kolejce przed kuchnią dla bezrobotnych. Chcę pracować, nie mogę jednak znaleźć zajęcia i poczynam wątpić, czy je kiedykolwiek dostanę. Cierpliwość moja jest już na wyczerpaniu. Czas temu wszystkiemu położyć kres, chociażby przemocą".

Próbowano wprawdzie w Ameryce zwalczać kryzys i bezrobocie drogą udzielania przemysłowi i handlowi nowych i tanich kredytów; przeważna ilość producentów jednak usiłowała obracać uzyskane kredyty na dalszą rozbudowę warsztatów produkcji, co przyczyniło się jeszcze bardziej do pogłębienia kryzysu, banki zaś, zamiast przyznane im kredyty obracać na korzyść gospodarki krajowej, używały ich do spłacenia swych zobowiązań wobec związkowych „Reserve — Banks". Zdaniem autora, sedno kryzysu leży nie w niewystarczającym aparacie produkcyjnym, lecz w zanikającej sile kupna bezrobotnych mas, państwo więc nie powinno wspomagać produkcji, lecz konsumentów. Owa zgoła utopijna próba zażegnania kryzysu nie pozwala autorowi wysnuć bardziej konkretnych konkluzyj; ogranicza się on przeto do twierdzenia, iż położenie bezrobotnych jest w Ameryce beznadziejne; beznadziejność zaś stale wzrastającej nędzy jest źródłem niebezpieczeństwa politycznego, — komunizmu.

Komunizm mianowicie istnieje i rozwija się, dzięki umiejętności z jaką kierownictwo partji wyzyskuje dla jej celów szereg bolączek amerykańskiego życia. Godną podziwu jest łatwość, z jaką komuniści potrafili zapewnić sobie poparcie wśród odsuniętych od życia i moralnie sponiewieranych przez białą rasę murzynów; imponującą jest zręczność, z jaką działacze komunistyczni potrafili wykorzystać słabe strony osłabionych przez intrygi i korrupcję amerykańskich związków zawodowych, aby w ich szeregach zdobyć sobie najzagorzalszych zwolenników. Fala komunistyczna rośnie w Ameryce z każdym dniem, zwycięstwo bolszewizmu jednak nie ma jeszcze w chwili obecnej poważnych widoków powodzenia. Winna temu jest z jednej strony sama partja, której często bardziej chodzi o swe własne interesy, niż o dobro klasy pracującej, — z drugiej strony zaś natura przeciętnego robotnika amerykańskiego; robotnik ten bowiem jeszcze obecnie gotów jest, na wypadek zmiany na lepsze w konjukturze gospodarczej, poświęcić swe zapatrywania polityczne natychmiast osiągalnym zyskom materjalnym. Dopiero wówczas, gdy w całem społeczeństwie utrwali się poglad, iż przesilenie jest stanem chronicznym, rolnictwo zaś zbiednieje w takim samym procentowym stosunku jak klasa robotnicza, i stanie wraz z robotnikami we wspólnym froncie, będzie mógł komunizm w Ameryce liczyć się z możliwością wygranej. Tymczasem jednak „farmer" jest indywidualistą; jak długo nim pozostanie, ruch komunistyczny w Ameryce jest bez przyszłości.

Poza wyżej wymienionemi problemami zasadniczemi autor poświęca również uwagę zagadnieniom, które aczkolwiek same w sobie drugorzędne, przyczyniają się do pogłębienia i większego jeszcze skomplikowania amerykańskiego kryzysu. Godnemi wymienienia są rozważania, które nasuwają się Johannowi w związku z kwestją osławionej prohibicji. Budżet Stanów Zjednoczonych za r. 1931/32 wykazał 2000 miljonów dolarów deficytu. Pomijając koszty, ponoszone przez państwo na utrzymanie prohibicji, jest, zdaniem autora, rzeczą oczywistą, iż na wypadek przywrócenia spożycia napojów wyskokowych podatek od alkoholu byłby sam w stanie pokryć niedobór budżetowy. Należy bowiem pamiętać, iż według przybliżonych obliczeń, w roku 1929/30 na głowę jednego mieszkańca przypadło mimo prohibicji 30 litrów wypitego alkoholu i że tajny przemysł spirytusowy jest obecnie pod względem obrotów trzecim przemysłem z rzędu w Ameryce (po przemyśle naftowym i stalowym). Na potajemnej produkcji alkoholu zarabia obecnie pośrednio, czy też bezpośrednio tylu ludzi, iż wszelkie próby „mokrych", zmierzające do usunięcia rujnującej państwo i demoralizującej naród prohibicji spotykają się ze zorganizowanym oporem sfer zainteresowanych.

Niemniej interesująco przedstawia autor tak często przez szereg pisarzy omawianą kwestję murzyńską. Wrodzony wstręt, graniczący z nienawiścią który odczuwa na widok murzyna szanujący się Amerykanin uprawnia go do stosowania wobec kolorowych wszelkich uświęconych celem środków. Poczucie sprawiedliwości nie gra w takich wypadkach najmniejszej roli. Znowuż następuje szereg przykładów z nazwami miejscowości, nazwiskami prześladujących białych i prześladowanych, jak za czasów niewolnictwa, murzynów,— litanja przytłaczająca grozą i okrucieństwem. Fakty te nie przyczyniają się, oczywiście do wytworzenia atmosfery harmonji między dwiema rasami, rozdzielonemi obecnie grubym murem, który niewiadomo, czy kiedykolwiek zostanie zburzony.

Cóż dalej? — wyłania się z tego zbioru wrażeń i rozważań. W odpowiedzi na to pytanie leży najsłabsza strona książki; brak jej wyraźnej konkluzji; istnieją wprawdzie wyjścia z szerzącego się w Stanach Zjednoczonych ekonomicznego chaosu, ale — jak to wyraźnie przyznaje autor — są one tylko teorotyczne. Pierwsze z nich polegałoby, zdaniem autora, na kompletnem wyswobodzeniu kapitalizmu z krępujących go węzłów i powrocie do nieskrępowanego ustroju gospodarczego. Przedstawiciele wszystkich ludów świata musieliby wówczas uchwalić przy okrągłym stole zniesienie wszystkich barjer celnych oraz kontyngentów importowych, wzamian za to zaś wprowadzić wszędzie wolny handel i wolną konkurencję zabraniając jednocześnie tworzenia się trustów, syndykatów i karteli. Są to jednak, zdaniem autora, marzenia, mające nadzwyczaj małe szanse realizacji. Drugie wyjście polegałoby na położeniu kresu bezplanowej produkcji towarów, którąby od tej chwili stosować się musiała do opracowanego z góry planu, mającego na celu zrównoważenie produkcji ze spożyciem. Owa planowa gospodarka jednak musiałaby w poszczególnych dziedzinach gospodarczych być nader ostrożna i wszechstronna w wyborze form działania, aby uniknąć szkód i niebezpieczeństw eksperymentu rosyjskiego, usiłującego całą gospodarkę ukształtować według jednego ogólnego schematu. Na realizację tego drugiego wyjścia wydaje się że autor kładzie większy nacisk i w tym wypadku jednak zachowuje daleko idącą rezerwę, ograniczając się jedynie do wskazania pewnych możliwości.

Ktoby w książce Johanna pragnął doszukiwać się konkretnego planu walki z kryzysem i bezrobociem, ten dozna rozczarowania. Książka ta, będąca owocem refleksyj człowieka, który zetknął się z życiem tak blizko, aby ocenić ogrom jego nędzy, lecz równocześnie na tyle zbliżył się do teorji, aby trzymać się zdala od rozwiązań symplicystycznie-radykalnych, nie zawiera żadnego programu. Jej zasadnicza wartość polega na bezpośredniości wrażeń, na oryginalnem oświetleniu pewnych problematów, aktualnych nie tylko dla Ameryki, ale i dla całego, trapionego gospodarczem przesileniem świata cywilizowanego. Autor jest odważny; nie waha się dotykać najdrażliwszych z punktu widzenia socjalnego kwestyj, usiłuje on jednak w każdej sytuacji zachować zimną krew; trzeźwy sąd, który dzięki tym wysiłkom udaje mu się wyrobić, jest godny uznania. Każdy interesujący się kryzysem, specjalnie zaś jego przejawami w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, znajdzie w książce Johanna dużo cennych spostrzeżeń.

BOHDAN ZANIEWSKI

Berlin. — Sierpień 1932-go roku.

GAWĘDY EDWARDA KRASIŃSKIEGO

I

EDWARD Krasiński jest wybitnym tradycjonalistą. Nie ślepy, nie ciasny, nie *laudator temporis acti,* pełen zrzędy i przekory, ale chwalca naprawdę wielkiej i pięknej przeszłości, jej pomników „wydartych topieli", którym przytułek, czy raczej schronienie dał u siebie na „Okólniku". Jest tradycjonalistą z ducha Zygmunta — psalmisty, z ducha Wincentego — rozsądnego reakcjonisty, choć karkołomnego szwoleżera, z ducha Adama — partyzanta i konspiratora w sutannie i — Franciszki, jak ją nam maluje przezacna Klementyna z Tańskich. Tym duchom wielkim i największym z grona swojej rodziny, rodziny czystej, światłej i orężnej, pełnej „śmiałości lwiej" i „wspaniałości senatorskiej" składa ordynat opinogórski *implicite* hołd pośmiertny, gdy na stronach 21 — 22 gawędy swojej „o przedwojennej Warszawie" [1]) naprawdę natchnione a serdeczne kreśli słowa:

„Gdy we wnętrzach (dworów porozbiorowych) zadźwięczała muzyka, gdy wtargnął do nich taniec, wybuchało wszystko płomieniem niesłychanego życia, ruchu, tryskała żywiołowa radość. Ukrainiec brał w tany pannę z Wielkopolski, warszawiak z urodziwą łączył się Litwinką, wołyniak— z cudną galicjanką, a ponętna, jak step bujna, podolanka wybierała krakowianina w rogatywce z pawiem piórkiem; wówczas przekreślone były podziały na zabory, bo serce nie sługa, ani znać chce słupy graniczne, kojarząc się jedno z drugiem upiornie w ojczyznę, jednocząc pod nakazem uczucia to, co było rozdarte materjalną grabieżą Prusaka, zbrodniczym knutem Moskala, fałszem Austrjaka. Najpotężniejsze fale plemiennej przynależności rwały na strzępy wszelkie zapory nienaturalnego rozdarcia i zakazu. Rodzina polska ocaliła przed wynarodowieniem Polaków".

Uczuciem rodzinnem, rodzimem, umiłowaniem swojskości tchną więc dalej następne strony tej gawędy, pełne uroku i dla nas, pogrobowców „starego porządku" i dla szczęśliwych czy potrochę mniej szczęśliwych pokoleń — pionierów *ordinis novi.* Dla tych bowiem pokoleń — Warszawa czy Kraków z roku 1914 — to coś jak dla Rzewuskich, Kraszewskich czy Chodźków — Warszawa czy Nieśwież z roku 1789.

Więc opis polskiego wnętrza, jakby krojony

[1]) Krasiński Edward: „Gawędy o przedwojennej Warszawie", Warszawa 1936, Trzaska, Evert i Michalski S. A., str. 138.

z jakiejś księgi „Pana Tadeusza", więc — opis polskiego balu, tryskającego tempem Soplicowa, „Wesela", „Popiołów", więc opis — polskiego koncertu: kameralnej muzyki szopenowskiej, „cichej jak szept, czułej jak łza, serdecznej jak pacierz" lub też gromkich akordów Paderewskiego, pustoszących spokój słuchaczy „dramatem życia polskiego". No i wreszcie — opis polskiego salonu (warszawskiego, krakowskiego, lwowskiego — obojętne) z nieporównanymi *causeur*'ami, jak Henryk Sienkiewicz, jak Kazimierz i Zdzisław Morawscy, jak Aleksander Rembowski, czy Antoni Zaleski („Antałek" — autor listów o „Towarzystwie warszawskiem"), jak cynik „Tonio" Wodzicki czy epikurejczyk Stanisław Koźmian.

A tradycja „obiadów czwartkowych"? Dynastii coprawda w Warszawie zabrakło, ale — jak słusznie podnosi Krasiński — zostali dynaści: Zamoyscy w Warszawie, Potoccy w Galicji, częściowo Czartoryscy w Poznańskiem, Radziwiłłowie na kresach. Krótko ujmuje zalety i wady rodów tych ordynat w świetnem powiedzeniu Chateaubrianda (?):

„*L'aristocratie a trois ages succesifs. Le premier — l'âge des supériorités, le second — l'âge des privilèges, le troisième — l'âge des vanités; — sortie du premier, elle dégénère dans le second et s'éteint dans le troisième*". To trzecie stadjum degeneracji arystokratycznej to było znane nam wszystkim, a więc i *experto Roberto* — autorowi „przekrwienie dumą, samoupojenie próżnością, nabrzmienie pychą", nieznośna, barbarzyńska „puchlina szlachecka", mszcząca sie dziś na zarażonych nią wtórnemi, chronicznemi przypadłościami „reformy rolnej" czy „*opportunitas acuta*".

II.

Z drugą częścią książki jesteśmy już w pełni życia towarzyskiego przedwojennej Warszawy. Przekrój jej mamy subtelny, wnikliwy, wszechstronny. Nie brak „wielmożów", bo jest — ordynat Zamoyski, „pierwszy pan w Polsce, w życiu ówczesnem bezsprzecznie uznawany i do różnych społecznych przedstawicielstw wybierany jako sztandar — rzekłbyś cichy, nieujawniony dynasta". A za „Pałacem Błękitnym" sypią się hurmem salony: salon (czy nie trochę „loża?") Karola Benniego, pełen w każdym razie niebywałej konspiracyjności; „pontyfikalny" salon Deotymy (przy Marszałkowskiej?); salon muzyczny (świetny) Kronenbergów (i Reszków); renesansowe „sympozjony" księdza Chełmickiego; „tekazetowe" obrządki u starego prezesa Górskiego (czy „Zbąskiego" ze „sprawy Dołęgi"?); herbatki u Tadeusza Korzona czy Włodzimierza Spasowicza itd. itd. itd.

Krasiński jest tych antycznych salonów kongenjalnym piewcą; aż się prosi, by coprędzej, zrzuciwszy „talar" autobibljotekarza, dał nam nareszcie szczeropolskie, autentyczno - mazowieckie pamiętniki, dalekie nastrojem i wyczuciem polskiej rzeczywistości od egzotycznych gawęd Bogdana Hutten-Czapskiego czy Hipolita Korwin-Milewskiego. Ten „urbanista" *à ses heures* jest jednak przedewszystkiem poetą wsi: ten autor „Opowieści łowieckich" czy „Radziejowic" — i w ostatnim zbiorku wznosi się do wyżyn prawdziwego natchnienia, kiedy pisze o swojej Opinogórze: nie wpadnę, sądzę, w przyjacielskie komplimenciarstwo, gdy powiem, że opis balu dożynkowego ma zewszechmiar akcenta Reymontowe.

Piękny to był skądinąd czas — ten „stary reżym", czas kuligów, „szlichtad", łowów, „zielonych karnawałów", bali na wodzie, czas, gdy „Rozmaitości" były arystokratyczno - mieszczańskim salonem; gdy w operetce: Kawecka, Messalka, Redo, w farsie: Łaska, Morozowicz, Gasiński niebywałe święcili tryumfy; gdy w „Teatrze Polskim", ufundowanym nienajmniejszą zasługą Krasińskiego Edwarda, wchodzili na scenę: Krasiński Zygmunt, Nowaczyński obok Bogusławskiego i Szekspira. Nad „Warszawką", jak ją znamy, często płochą, często *terre-à-terre*, często niewybredną — dominowała wszakże wielka, krwawa, tragiczna przeszłość i nieznana, upragniona, a skłócona niestety! przyszłość Warszawy. Rok 1904, rok 1914, rok 1926 mącił skoczne tony mazurów, co z tego przecie poczęły się gruntu; wtedy Syrena zapominała o swoich ułudach, gubiła ogon rybi, stawała się z dziwożony matroną. Jako zaś taka, przywiązywała do siebie najbardziej swoich synów, co, jak Edward Krasiński, pochodzą z rodziny pramazurskiej, a ze stolicą związanej w kształtach najpiękniejszych jej pałaców.

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

NORWIDJANA IV

LISTÓW C. NORWIDA

GARŚĆ TRZECIA

Podał STANISŁAW PIGOŃ

15. Kwestja popiersia Goszczyńskiego...

[1863]

Kwestja popiersia Goszczyńskiego jest tak:

Sztuka plastyczna i monumentalna jest publicznym aktem uznania, choćby nie szło o posąg, ale o kameę w pierścieniu, ale o medal bibljoteczny etc. Aby rzeźbiarz wykonywał to, co na czasie godzi się, — trzeba aby niemniej społeczeństwo miało potrzebę swój akt uznania publicznego na czasie zapieczętować.

Społeczeństwo zaś jeżeli przez całe żywota ludzi nie dba o nich, np. jeżeli wszyscy tej epoki pisarze polscy, bez wyjątku prawie żadnego, nie mogli nigdy żyć z prac swoich i są pensjonowani żołdem niepolskim, lecz francuskim, tak jak zeszłej epoki wielu żołdem rosyjskim, i jeżeli to społeczeństwo żadnych im nawet ułatwień wydawnictwa nie pomyśliło nigdy zrobić i żadnego banku, jak ma każdy szewc i krawiec w Niemczech, —

tedy: wewnętrzne, niewysłowione poczucie jest w człowieku, które każe mu unikać oblicza, nie mieć potrzeby patrzenia twarz w twarz, nie obcować plastycznie z postacią czasów.

Cokolwiek zaś na drodze tej familijnie, prywatnie, przez stosunki personalne, pośmiertnie, popogrzebnie, w nadsztukowany sposób robi się lub

zrobiło, — to wskutek nie zaspokojenia potrzeby istotnie poczutej, ale dlatego, że też i inne narody tak robią, więc to się tak i zrobi czasem...

Stąd to czekać trzeba niekiedy, aż jedno, dwa lub trzy pokolenia przeminą — dlaczego?... Dlatego, że masa sumienia odmieniwszy się, zyskuje śmiałość poglądania twarzą w twarz.

Potężniej i niepowrotnie potężniej (bo wyjątkowa karta dziejów) było to, kiedy płaszczem zakrywano sobie oczy, aby u-pogodzenia blaskiem na twarzy Mojżesza nie spotkać, iż zdało się być rażące i wstrętne.

Na tem to się opiera, że raz społeczności mają potrzebę plastycznego obcowania z historją własną, a drugi raz nie mają; lub że jedne mają, drugie nie mają.

1863 Cyprjan Norwid.

Uwaga wydawcy: Autograf w Bibl. Narod. (arch. rapp., nr. 1316), w grupie rękopisów różnych, gromadzonych zewsząd. Stąd trudno ustalić jego pochodzenie; p. dyr. A. Lewak wyraził domniemanie, że autograf mógłby pochodzić ze spuścizny po W. Gasztowcie. Trudno rzeczywiście ustalić, komu tu Norwid odpowiada, kto mógł zwracać się doń w sprawie popiersia S. Goszczyńskiego, który według własnego (błędnego) mniemania obchodził wówczas 60-lecie urodzin. W każdym razie nie Giller (późniejszy wydawca *Sobótki* księgi zbiorowej na cześć S. Goszczyńskiego), bo ten do grudnia brał bezpośredni udział w powstaniu. Sprawa popiersia mogła być poruszona chyba dopiero jesienią 1863 r., kiedy Goszczyński podniósł się z ciężkiej choroby. O projekcie popiersia nie wspomina Goszczyński nic w swym Dzienniku.

16. Do Leonarda Chodźki.

2 czerwca 1866.

Łaskawy Panie.

Otóż nareszcie trzeba i tego, abym ja i dla siebie miłego Pana niepokoił i zaprzątał.

Zaiste—jak zacząć? niewiem dlatego, iż trzeba mi protekcji dla rzeczy dokonanej i sprawiedliwie skończonej.

Jest to największy kłopot—podobno, łatwość poruszeń i wymowa powiększają się w miarę oddalenia od prostoty i prawdy. Co na to począć?...

Czyli mnogie stosunki literackie pomiędzy wysokościami francuskiemi nie dozwoliłyby Miłemu Panu zażyć pomyślnego gestu w następującej rzeczy: Rzecz jest zaś prosta i zupełna.

D. 12 marca 1866 r. śliczny dziennik *l'Artiste* listem swego administratora do mnie pisanym uwiadamia mnie, że przyjmuje trzy moje miedzioryty. Takowe na drugi dzień wręczone zostały administratorowi—avenue Friedland 49.

I — — odtąd nic nie wiem...

„The reste is silence!!" — jak powiada Hamlet.

Niestety, przez tyle czasu mógłym był znaleźć innego edytora moich rycin. A potem?.. czemuż przyjęto bez protekcji, a czemu teraz muszę protekcyj szukać dla dopełnionej rzeczy?

Ostatnie wypadki zabrały mi na tamten świat jedynego brata, który jeszcze miał normalną pozycję.

Awantury obecne w Niemczech zabrały mi edytora pism moich w Lipsku, który mi płacił, a który ustał. Pozostaje mi parę złamanych ołówków i zardzewiałych rylców. Oto i wszystko.

Zresztą — czy chcę coś ponad prawa w każdym szanującym się dzienniku przyjęte? Nie chciałbym dojść do przekonania, że łatwiej o litość, niźli o prostotę sprawiedliwości...

Ramię Twoje, Szanowny Panie Leonardzie, ściskam z poważaniem i życzliwością

Cyprjan Norwid.

Uwaga wydawcy: Autograf w Bibl. Narod. (arch. rapp., nr. 428), wśród listów do L. Chodźki. Chodzi tu o sztychy, z których dwa umieszczone zostały w *L'Artiste*, ale dopiero po dwu latach. Są to, jak wiadomo, Głowa Sybilli i Sforza w więzieniu. Wzmianka o bracie zmarłym odnosi się do Franciszka Ksawerego (ur. 1825).

17. Do Karola Ruprechta

[Paryż, po 12 sierpnia 1868].

Uprzejmy Bibljotekarzu!

Dlaczegoż błąd w pierwszym zaraz wierszu?— Zaiste? Język polski jest tak wcale zaniedbany, iż zdarzają się już błędy takie, że poradzić onym pojedyńczy pisarz nie może, ale czekać musi na spółdziałanie ogółu społeczeństwa. Wszelako z błędu niniejszego naturą tak nie jest. Każdy może nie popełniać błędu onego.

Nie mówi się, ani pisze po polsku: w Batignolles, dla tych samych powodów i tej samej reguły, dla jakiej nie pisze, ani mówi się: w Żmudzi, w Ukrainie, w Litwie (nawet), ale mówi się: na Żmudzi, na Litwie (nawet, lubo Litwa autonomję swą miała).

Linde stary, lubo nie wszechstronnie wystarczający, wiedział i nauczał o tem, iż „w" odnosi się do środkowych, osiowych, wnętrznych, punktów, do stolic i stołecznych ziem, gdy „na" do prowincyj zależnych i nieustalonych dependencyj.

Ta reguła tem droższa jest, jeśli daje możność eufonję zaspokoić,—a tak już trzeba się silić, by wymówić koniecznie: w Paryżu; nacóż gwałcić regułę, aby dodać trudności do wybrzmienia barbarzyńskiego: w Batignolles! Zaś i ten wzgląd eufonji nie jest, jak barbarzyńcy myślą, muzyckiem tylko ogładzeniem, — gdzie tam! To dowód, czyli język myślił kiedy o tem, że cudzoziemiec uczyć się go będzie?... czyli tylko w swojej parafji z przyrodzenia w gardle i w płucach miał dla jedynego ludzkości powiatu służyć...

O tych rzeczach myśląc, zbrakło mi czasu, aby być świadkiem rozdania nagród w Szkole polskiej na Batignolles.

Vale et me ama.

1868 Cyprjan Kamil Norwid.

Ponieważ zaniechałem pisać po polsku, więc dlatego pono odpisuję i dlatego na zafarbowanym farbą papierze.

[Adres:] Monsieur Charles Ruprecht, Bibliothécaire à l'Ecole Polonaise de Batignolles.

Uwaga wydawcy: Aut. w Bibl. Narod. (arch. rap.) nr. 263 II. List na arkusiku z litografowanem zaproszeniem na publiczną uroczystość rozdania nagród uczniom Szkoły Polskiej w dn. 12 sierpnia 1868 r. W nagłówku zaproszenia: „Szkoła Polska w Batignolles" Norwid przekreślił „w" i nadpisał „na".

NA WIDOWNI

W szale „młodości” jest moda, ale jest też metoda. — Na bok starzy! — Problem młodzieży: węzeł gordyjski. — Przypowieść o rzece i sztucznej tamie. — Młodzież sanacyjna wykiwana na bezdroża. — Bezideowość i żywy towar. — Z żydami do wspólnego celu.

POZOSTAJĘ pod wrażeniem artykułu, wyczytanego w „Dekadzie” (tygodnik akademicki) z d. 13 maja. „Młodzi idą!” — głosi tytuł. A treść taka: „Świat należy do młodych. My nie chcemy kazań starszych panów... Młodzież dzisiejsza jest najbardziej samodzielnie myślącą i działającą na przestrzeni wszystkich wieków... Jesteśmy wszędzie, gdzie tylko okaże się potrzeba. Jesteśmy w literaturze, sztuce, nauce, technice. My, młodzi, nadajemy ton rzeczywistości, my narzucamy programy, które sami realizujemy... Młodzież jest genjalna... My jesteśmy wszędzie pierwsi. Na nic się zdają (?) starcze narzekania ojcowskie... Idziemy przez życie przebojem, idziemy z otwartą twarzą i gotową do ciosu pięścią... Młodzi to dziś potężna lawina... Młodzież przoduje... Młodzież wytworzyła sobie własny światopogląd... Młodzież wie, czego pragnie... Naprawa świata” itd., itd.

Wszystko to pod hasłem: „Na bok starzy — młodzi idą”. Bo właśnie chodzi o tych starych: „Starsi niechętnie patrzą się na naszą (młodzieży) dzielność. Niewiadomo dlaczego. Czy boją się zbyt rychłej ideologicznej emerytury, czy poprostu zazdroszczą młodzieży samodzielności? Rzucają młodzieży kłody pod nogi”...

Łatwo powiedzieć: źrebak! Jest tu coś więcej, bo jakiś chorobliwy atak szału młodości. Niemniej warto się zastanowić, co w tych pokrzykach jest charakterystycznego dla psychiki pokolenia. Trudno nie spostrzec, że jakaś nienormalność stosunków zakłóciła w ten sposób spokój umysłów w społeczeństwie. Na „wierną rzekę” dziejów narodu znowu jakaś ręka rzuciła tamę, która skłóciła wodę, spieniła, zbrukała. Żywioł szuka ujścia dla siebie i spiętrzając się wysyła fale, penetrujące wśród gruzu przebojem, szparami, podciekami. Te drobne, młode fale, rozbijające się o kamienie i kłody sztucznego wału, połyskują w słońcu i śnią zwycięstwo. Ale przecież nie o to chodzi, żeby one przesiąknęły szparami, czy górą i spadały kaskadami. Chodzi o bieg całej rzeki.

Unormować zatamowany przeszkodą bieg życia w społeczeństwie tak starganem dziejami, podobnemi istotnie do Wisły nieuregulowanej, nie jest tak łatwo, jak sobie wyobraża młodzieniec, autor wyżej przytoczonej pieśni. Zapewne, młoda fala ma wiele powodów do odczuwania stanów udręki i chwilowej ekstazy, jeszcze więcej powodów błąkania się po szparach z uczuciem, że wywalczając dla siebie osobiście trochę miejsca, załatwia sprawy całego żywiołu narodowego. Żywioł pracuje powoli, nieraz czeka cierpliwie, ale wkońcu musi wygładzić łożysko do dna.

Solidarność z tym żywiołem stanowi główną podstawę ideologji. Źle się dzieje z ideowością młodzieży, która w poetyckiem uniesieniu potrafi złorzeczyć wszystkim poza sobą. Bo przecież nie trzeba być krytykiem literackim, aby w słowach wyżej przytoczonych wyczytać niecierpliwość. „Starość, starzy” — to owa reszta społeczeństwa, którą się o coś oskarża, aby we własnem sercu usprawiedliwić się z tego, że się od niego, od tego społeczeństwa, odchodzi.

I to jest charakterystyczne, że to hasło „precz ze starymi” wychodzi z kół młodzieży zbałamuconej „sanacyjnie”, w gruncie rzeczy oportunistycznej, bezideowej. Hasło karjerowiczów.

Wśród młodzieży obozu narodowego hasło to nie jest popularne, wśród ideowej narodowej — nawet niemożliwe, bo tutaj psychika układa się według wewnętrznego poczucia solidarności z całością narodu i — z dziejami. T. zw. „starsi”, czy „starzy” toż to pierwsze ogniwo historyczne.

Najlepszy dowód zbłąkania psychicznego młodzieży, dotkniętej chorobą „sanacyjności”, jest to, że wchodzi mimowoli na drogę rewolucji socjalnej. Gdzież ma pójść, zrzekając się solidarności z dziejami narodu? Pójdzie wszędzie, gdzie ją zaprowadzą faktorzy — do „naprawy świata”. Odchodzą w świat. A że to są dzieci polskie, że instynkty na tortury są brane, więc krzyczą cobądź, bez sensu. I to byłoby tragiczne, gdybyśmy nie wierzyli, że jest przejściowe.

Bez sensu. Bo jeśli odchodzicie, to przecież nie w naszą stronę; nie tamujemy wam drogi swoją pracą. Powiedzmy za Gogolem: „Być może Aleksander Macedoński jest wielkim człowiekiem, ale po co stare krzesła łamać?” A co do tego Aleksandra, — myślicie, że wielkich rzeczy dokonał dla kraju i węzły gordyjskie rozcinał tylko dlatego, że był młody?...

Węzeł warszawski nie jest tak trudny do rozwiązania. Starsze pokolenie naszych „naprawiaczy świata” w „Narodzie i Państwie” analizuje dość trafnie sytuację:

„Wszelka mafijność” — czytamy tam — „jest rakiem, niszczącym organizm społeczny. Praktyka grup ostatnio rządzących zrobiła wszystko, co tylko wyobraźnia ludzka może wysnuć, aby utrudnić współdziałanie obywateli na rzecz dobra powszechnego. Rozwiązano wszelkie kontakty z młodzieżą i młodszem pokoleniem, odgraniczając się od nich megalomanją „zasług”, tradycyjnym i protekcyjnym stosunkiem. Osłabiono poczucie hierarchiczne w administracji publicznej, oddając politykę personalną w ręce grup i osób nieprzygotowanych, nieznających potrzeb tej administracji publicznej i traktujących swoje zadanie, jako lokowanie w administracji osób spośród grup ich mandatarjuszów, a tępienie jednostek niezwiązanych lub niepodporządkowanych grupom administrującym personaljami. Utworzono koncern prasowy niezależny od obozu rządowego, utrudniający oddziaływanie na opinję publiczną w kierunku dążeń obozu i potrzeb państwowych. Zamiast harmonji społecznej — zanarchizowano społeczeństwo. Zamiast tendencyj do koncentracji sił — stworzono warunki dla odśrodkowych dążeń licznych grupek, z najrozmaitszemi tabliczkami, których treścią coraz bardziej stają się osobiste aspiracje”.

Oto jest owa tama, która przerwała normalny bieg życia i wytworzyła „problem młodzieżowy”. Ów problem ściąga się w wyższych uczelniach do tego, że przed młodzieżą stąd wychodzącą zamknięty został na długi czas dostęp do posad. *Beati possidentes* zabrali je dla siebie, lub dawali je tylko swoim. Ponieważ państwowych było im zamało, zagarnięto w drodze etatyzowania posady prywatne. Przed młodzieżą stanęło widmo jakiegoś potwornego, starego społeczeństwa, ustał normalny sposób myślenia w kierunku współdziałania naturalnego ze starszemi pokoleniami. Zanikły podstawy moralne ideologji społecznej, ich miejsce zajął ból niezaspokojonych aspiracyj osobistych.

Bo w dodatku pokazało się, że nie prowadzi do celu kompromis z sumieniem. Wabiono mło-

dzież obietnicami karjery na to, by je kierować przeciw społeczeństwu i deprawować. Wiemy, czem się stały „Legjon Młodych", a potem „Straż Przednia". Sanacyjni patonowie nie mieli przecież sami żadnej ideologji, nie mogli też zadowolić ani patrjotów, ani radykałów społecznych. Sanatorzy radykaliści w organie swoim „Sygnały" (1.V) tak teraz mówią o tem nabieraniu na ideały:

„Straż Przednia" jest organizacją kosztowną. Wysokie pensje dygnitarzy strażowych, utrzymywanie lokali, urządzanie obozów i kursów pochłania setki tysięcy złotych. Państwo nie może dać nauki w szkole powszechnej przeszło miljonowi dzieci, ale na utrzymanie „Straży" czy na subsydja dla „Kuźni" pieniądze znaleźć się muszą. Stosunek wydatków państwa na jedno dziecko w szkole powszechnej i na jednego strażowca ma się mniejwięcej tak, jak 1:25. Za pieniądze, wydawane na zaledwie dwutysiączną organizację możnaby umożliwić pobieranie nauki elementarnej około 50,000 dzieci.

Po tegorocznej „restauracji" w szeregach „Straży Przedniej" pozostało niewiele jednostek wartościowych oddanych całą duszą idei. Stanowią one nikły odsetek ogólnej liczby członków (uczestników ew. kandydatów, jak kto woli). Znamy przecież wielu strażowców. Jednostki, s p o d z i e w a j ą c e s i ę ł a t w i e j s z e g o o t r z y m a n i a p o s a d, takie, które chcąc sobie zaskarbić względy przełożonych, lub wreszcie takie, które nie zdają sobie dokładnie sprawy, poco właściwie do tej organizacji należą?"

Młodzież posanacyjna, pokrzykująca dla kurażu i wygrażająca pięścią społeczeństwu, jest w gruncie rzeczy smutna, jak wszelkie stworzenie ludzkie bezideowe. Akademicka „Dekada" w nr. 22 w artykule „Oblicze ideowe młodego pokolenia" nie jest w stanie odpowiedzieć wprost, jaka jest treść dążeń młodzieży. Istnieje tylko „tęsknota za wielką ideą". Owa „t ę s k n o t a j e s t g ł ó w n y m m o t o r e m poczynań młodzieży". Młodzież „wyzwolona spod wpływów partyj, odrzucając spory orjentacyjne, jako nieaktualne i jałowe—buduje zręby swej w ł a s n e j ideologji".

Tak tę młodzież nastawiono, strasząc „partyjnictwem". Poprostu kazano jej zerwać ze wszystkiem, co jest przekazem historji, co daje orjentację dziejową. Z czegoż ona ideologję wytwarza?

„Podstawy tej ideologji stanowią n a c j o n a l i z m, r a d y k a l i z m i p i ł s u d c z y z m, w połączeniu z tendencją do wyeliminowania demagogji i frazesu na rzecz konkretnej pracy społecznej w terenie. Ideałem olbrzymiej większości młodego pokolenia, w którem dążności międzynarodowe nie znajdują oparcia — jest potężna i sprawiedliwa Polska, stanowiąca godną kontynuację wiekopomnego dzieła Marszałka. D r o g a, k t ó r a d o t e g o p r o w a d z i n i e z o s t a ł a j e s z c z e p r z e z m ł o d z i e ż d o k ł a d n i e w y t y c z o n a. Momentem, który brać należy pod uwagę, jest daleko posunięte bezrobocie młodzieży, powodujące marnowanie się wielu wartościowych jednostek".

Jest to więc stan impasu, wywołany zakłóceniem zdrowych instynktów przez zbytnią troskę o sukces doraźny w duchu „aspiracyj osobistych", a spotęgowany ogólnem bezrobociem. Rozciąć ten węzeł gordyjski „nacjonalizmu, radykalizmu i piłsudczyzmu" można tylko w jedyny sposób, powracając z okazyjnej przygody politycznej na łono prawdziwej historji. Dramat jest wspólny zarówno starych, jak i młodych. Młodzież sanacyjna padła ofiarą oszustwa ze strony tych, którzy ją zapewnili, że zaczynają dzieje na nowo i że pierwszym warunkiem powodzenia sprawy jest zerwać z tem, co było po tamtej stronie tamy. Były jakieś ideje (partje), były jakieś orjentacje, to wszystko „na szmelc".

Moda młodzieńczości przetrwała swych prawodawców. Oto bowiem tama już rozmokła, przyszła pora wspólnego działania żywiołów narodowych, a młodzi wciąż krzyczą ku dziejom: „precz, my jesteśmy genjalni, my sami coś wymyślimy. Nie wiemy jeszcze jak, ale my świat naprawimy". Że to jest moda, świadczą manjery publicystyczne wśród literatów starszych, zwłaszcza w czasopismach, mających ambicję zwracania na siebie uwagi modnie skrojonym frazesem. Tam byki 40-letnie wystawiają sobie świadectwa młodości i zaklinają się, że wszystko, co prawią, niema nic wspólnego z tem, co głosi starsze pokolenie. Z drugiej strony ta moda tem się zaznacza (tego dawniej istotnie nie było), że w polemikach publicyści wymyślają sobie od starców i ramolów.

Wielkie musi być ubóstwo treści duchowej, skoro się ktoś rozbudowuje na wartości fizjologicznej swojej młodzieńczości. Zanim coś zbuduje będzie już stary. Nie pamiętam, aby kiedykolwiek nowe prądy ideowe w walce ze staremi sięgały po atut wartości do metryki urodzenia. Zawsze walka odbywała się na ideje, tutaj zaś ideologji jeszcze niema, a jest już hasło: na bok starzy! Jakby rzecz polegała na cenie żywego towaru!

Międzynarodówka lubi towar bezideowy. Jeden z jej przedstawicieli, p. W. Rzymowski na prorządowym posterunku „frontu ludowego" w „Kur. Por.", jak Mefisto, kusi młodzież, nasuwając jej takie rozwiązanie „problemu": Wyrzeknijcie się nacjonalizmu zarówno Polacy, jak żydzi. Oba te wasze nacjonalizmy są „starozakonne", niemodne. Czy wy wiecie, kto te nacjonalizmy wymyślił? Kapitalizm. On was antysemitów i syjonistów, podjudza do walki aby otumanić świat pracy kurzem krwi bratniej. Patrzcie: kapitaliści — żydzi i Polacy — żyją i łupią ludzką skórę w zupełnej z sobą zgodzie. To jest wasz wspólny wróg, tutaj wasz wspólny front. P. Rzymowski, wkońcu przypominał sobie, że jest rządowym Akademikiem Literatury i publicystą „państwowości", więc syllogizm związał on taką masońską kokardką:

„Dlatego to młodzież, której dobrobyt i kultura Państwa Polskiego, a przedewszystkiem jego obronność, bezpieczeństwo i potęga, leżą na sercu, powinna w i m i ę w s p ó l n e g o c e l u podać sobie ręce do zgody i współpracy ponad hasłami rasownej nienawiści, którą ją chcą rozdzierać truć, nawet szargać w krwi".

Tak oto stare wygi masońskie naciągają młodzież. Dla nich polską młodzieżą są także żydzi. „Podajcie sobie ręce w i m i ę w s p ó l n e g o (!) celu". Dla syjonistów, wogóle żydów, potęga Państwa Polskiego jest celem! Masoni w Polsce liczą na bezideowość spreparowanej przez „sanację" młodzieży, ba nawet na jej bezmyślność.

Otóż, panie drogi, który na mnie krzyczysz, abym ustąpił z drogi, bo ci zawadzam, powiem ci, że nie ustąpię, owszem będę pracował dalej za siebie i za ciebie. Być może jesteś „genjalny", „najbardziej samodzielnie myślący i działający na przestrzeni wieków", ale skoroś powiedział, że celem twoim jest „naprawa świata", to już wiem zgóry, że pójdziesz z żydami, bo oni są panami świata. Ja skromny pracownik muszę tu pozostać, aby bronić Polskę od tej waszej „naprawy".

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

POCHÓD PIERWSZOMAJOWY W WARSZAWIE NAZWAŁ KTOŚ DOWCIPNIE MANIFESTACJĄ KONSERWATYSTÓW. Bo i prawda — te same do znudzenia hasła, pokrzykiwania na tle od lat tej samej doktryny... wszystko to robiło wrażenie jakiegoś manjackiego uporu. Ostatnio odbyło się zebranie Rady Naczelnej P. P. S. Wyciągnięto na wierzch sterotypowe uchwały z „kategorycznemi" żądaniami rządu robotniczo - włościańskiego na czele, okurzono je i podano po raz już niewiadomo który do publicznej wiadomości.

Okurzeniem było szczególne podkreślenie konieczności walki z faszyzmem „wszelkiego typu" w imię wolności politycznej, obrony kultury, praw i godności człowieka. Wiemy co to wszystko znaczy; hasło ataku na faszyzm, antysemityzm i wojnę poczyna przybierać na sile. Przynajmniej na sile głosu.

Służba żydostwu i jego zachłannej polityce posuwa się przytem tak dalece, iż przekracza granice samozaparcia. Ostatnio p. Dubois udzielając wywiadu żargonowemu „Momentowi" powiedział, iż „...walkę z antysemityzmem prowadzi P. P. S. z dwóch względów: 1) jest to bowiem zjawisko niehumanitarne; 2) pozatem endecy posługują się tym konikiem dla zdobycia władzy w Polsce". Jasnem jest, że nie wymieniono innych, niemniej ważnych względów.

Wreszcie — „wojna wojnie". U nas do tej pory przejawia się ona jedynie w formie wygrażania samolotom wojskowym oraz w okrzykach: „Precz z armją!" Jeśli się jednocześnie nie krzyczy: „Niech żyje militaryzm Z. S. S. R!", to jedynie zapewne przez dyskrecję. Mniej dyskretny jest sprzymierzony z naszym „frontem ludowym" (czytaj poprostu: „sowieckim") tow. Leon Blum we Francji, który zapowiedział narodowi fryncuskiemu, iż go rozbroi, mimo imponujących zbrojeń i gotowości zbrojnej dzisiejszych Niemiec. Podkreślam: dzisiejszych Niemiec, prężnych, antymoskiewskich.

Oświadczenie tow. Bluma kładą niektórzy na karb czystego jego idealizmu, przypominając, iż jest on przecież silnie związany interesami własnemi z wytwórniami broni.

Zaprawdę — niezbadane są tajniki idealizmu...

ZAPOWIEDŹ ROZBROJENIA FRANCJI — podobnie jak i antymilitarne hasła naszej P.P.S.— brzmią, wobec dzisiejszej sytuacji politycznej w świecie, conajmniej niezwykle. A jednak były już w historji sytuacje podobne. Zacytujemy ustęp z książki dr. Feliksa Konecznego, umieszczony w świeżo wydanej książce Jędrzeja Giertycha: „Tragizm losów Polski." Czasy saskie, ściślej — Augusta II-go. Czytamy:

„...król ten postarał się najpierw o to, żeby nie było wojska narodowego polskiego, a tylko królewskie. Nie uzupełniał zgoła wojska, złożonego jeszcze z dawnych wiarusów Sobieskiego. Dobierano oficerów jaknajgorszych nieuków, hulaków, żeby wojsko polskie zepsuć. Poprostu: August II rozbroił Polskę. A ponieważ państwo bez wojska istnieć nie może, więc wprowadził do kraju swoje niemieckie wojsko z Saksonji... Rząd królewski zapełniał Polskę żołdactwem, jakiem mu się podobało, nakładał kontrybucje na opozycjonistów, aż wreszcie taki był silny, że mógł rządzić bez sejmu, a podatków wybierał ile chciał; siła rządu doszła do tego, że zawierał zagraniczne umowy, dla Polski wielce szkodliwe, aż w końcu umawiał się o rozbiory — i co mu kto zrobił? Od tego było w Polsce królewskie, własne wojsko, króla samego tylko słuchające, żeby król siedział mocno na tronie i żeby się nie musiał bać nikogo."

Oczywiście analogja nie jest ścisła, ale czy stwierdzenia historyczne, powyżej przytoczone, nie powinny i nam współczesnym dać do myślenia?

ZDAWAŁOBY SIĘ, ŻE RADJO WARSZAWSKIE nikogo już nie może zdziwić swym programem, pozbawionym wszelkiej troski artystycznej, nacechowanym wybitnym brakiem smaku, a jednak audycja z dn. 5.IV p. t. „Same Rumby" przeszła wszystko, co dotąd dane było nam słyszeć. Rumby hiszpańskie—to nie była już audycja marna, czy nieudana, to była audycja wręcz cyniczna. *Speaker* zapowiada, iż będzie zagrana rumba-carioca, w takt której rozwija się... rewolucja hiszpańska, sili się przytem na dowcipy o „wstępie, części głównej i zakończeniu", które potrzebne są tak rewolucji, jak i... rumbie.

W Hiszpanji rozwija się rewolucja komunistyczna z siłą, równą tej, jaka kierowała rewolucją komunistyczną w Rosji. Szał zniszczenia ogarnia cały kraj, dzikie, barbarzyńskie hordy atakują ducha ludzkiego w jego najgłębszych twórczych przejawach: padają głowy, palą się kościoły, wiekopomne dzieła sztuki oddane na pastwę ognia, rozniecanego rękami ludzi, których mózgi opętał zły, zbrodniczy demon, nakazując niszczyć piękno, wykwitłe z prastarej rasy, gromadzone wiekami, którem karmić się winny przyszłe pokolenia Hiszpanów.

Z setek miast nadchodzą coraz bardziej zatrważające wiadomości: listy długie już dziś układać można ze zbrodni dokonanych, przed oczami naszemi przesuwają się miasta i miasteczka: Madryt, Sevilla, Alcala, Cadix, Almanosa, Santurio, Ovriedo i tyle, tyle innych, a każda to nazwa, to już dziś nazwa męczeńska, gdzie na równi z ludźmi giną owoce ich wysiłku wieków całych, giną warsztaty ich pracy, ginie nieogarnione piękno tego kraju, którego duch tak cudownie przejawił się w dziełach sztuki, a najwyższy bodaj wyraz osiągnął w architekturze: zamkach, pałacach, klasztorach, rozrzuconych jak senne marzenia w gęstwinie parków i ogrodów.

Ta wielka Hiszpanja wije się dziś w najokropniejszych konwulsjach. Już organizuje się nawet „specjalne święta nienawiści", które są dniami barbarzyńskiego wandalizmu, uprawniającemi ludzi do najgorszych, najdzikszych ekscesów, do krwawych, ohydnych zbrodni. Przecież zdarzył się nawet fakt tak bestjalski, jak spalenie żywcem 25-u chłopów w Casas Viejas.

Hiszpanja płonie, ogniste słupy znad jej kościołów, zamków, klasztorów wznoszą się ku błękitom jej jasnego nieba, jak najstraszniejsze przekleństwo i najgroźniejsze *memento*. Hiszpanja mistyczna, Hiszpanja bohaterska Calderonów i de Vegów rozpada się w gruzy... Kto na nich zapanuje? Co pozostanie z przeszłości?

Każdego człowieka myślącego ogarnia uczucie grozy i przerażenia. A tu nagle ta wstrząsająca tragedja, ta rewolucja, która przejawia się dzikością i szałem niszczycielskim, dla warszaw-

skiego radja staje się przedmiotem kpin i dowcipów, recytowanych na tle ordynarnej muzyki rumby.

Że pan Kreutenkrantz, naczelny sekretarz radja nie rozumie, że takich audycji nadawać nie można—wcale się temu nie dziwimy, ale przecież są jeszcze inni współpracownicy radja, czy ci nie mają nic do powiedzenia? Czy nie mogą przeciwko takiemu cynizmowi zaprotestować?

CZY TYLKO KSIĘŻA MAJĄ BYĆ EWANGIELICZNI?

W NIEDAWNEJ dyskusji na temat „Wiejskich problemów” p. K. S. Frycza padły znamienne słowa: Księża ewangieliczni.

„Trudno, wieś jest biedna i potrzebuje ewangielicznych księży”, napisał p. Frycz. Jeszcze wyraźniej podkreślił tę rzecz polemizujący z p. Fryczem p. Staryszak: „duchowieństwo niech mi tu wybaczy, musi to wiedzieć i z tem się liczyć, że laicy pragną w niem widzieć mężów świątobliwych, wolnych od marności tego świata, wpatrzonych wyłącznie w cel ostateczny”. Cóż na to my, kapłani? Ano, z jednej strony może to i nie bardzo miło słyszeć pouczenia od laików, z drugiej jednak cieszyć nas to powinno, że tak wysokie pojęcie mają oni o naszem powołaniu: dowodzi to ich wiary w wielkie posłannictwo Kościoła, jest wyrazem ich przeświadczenia, że tylko przy pomocy nadprzyrodzonych środków, jakiemi rozporządza Kościół Chrystusowy, można rozwiązać najbardziej niepokojące zagadnienia doby obecnej, no i wreszcie przeziera z tych uwag i miłość ich, jako wiernych, ku swoim pasterzom: pragną oni naszej doskonałości tak dla dobra naszego stanu, *prestige*'u naszego w społeczeństwie, jak też jeszcze bardziej dobra wszystkim nam wspólnego, dobra Ojczyzny, Kościoła, Narodu. (To właśnie wielkie dobro, ta właśnie troska o nie przyświecała bezwątpienia i p. Fryczowi i wszystkim tym, którzy o „Problemach” jego głos zabierali. A że tam komuś w tej polemice wyrwało się słówko zbyt ostre („manjactwo” p. Zamorskiego), ludzka to rzecz, gniewać się niema o co — gdzie drwa rąbią tam wióry lecą — a i wióry przydać się na coś mogą).

Gdy jednak nam księżom laicy pouczenia dają i my się o to nie gniewamy, niechże tedy i nam pozwolą, że ze swej strony ich zapytamy, czy tylko my księża ewangieliczni być mamy? Czy czasami ta ewangieliczność nie obowiązuje i was, panowie świeccy?

Może to was szokuje, zaraz więc wyjaśnię o co chodzi.

Chodzi tu nietylko o bezinteresowność, „wolność od marności tego świata”, czego domagacie się od nas kapłanów, a czego domagać się poniekąd można i od was, skoro jesteście chrześcijanami...

Ewangielicznym można być, a dziś takim koniecznie trzeba być we wszystkich innych dziedzinach, a zwłaszcza takich jak: nauka, sztuka, literatura. Wszyscy pracownicy tych dziedzin powinni dziś pośpieszyć z pomocą religji, oddać się na jej usługi, tak właśnie, jak to było za czasów apostolskich, kiedy to nietylko apostołowie głosili ewangielję i chrzcili nawróconych, lecz byli wówczas i „mężowie apostolscy” i niewiasty święte, inteligentni współpracownicy z apostołami w wielkiem dziele ewangielicznem, a współpracujący z takim entuzjazmem, że tylko śmierć bohaterska kładła kres tej ich współpracy. Tem się tłumaczy zwycięstwo „Galilejczyka” i 12 jego rybaków nad ówczesnym światem pogańskim. To była pierwsza „Akcja Katolicka”, którą obecny Ojciec Św. wskrzesić i nowoczesnemu pogaństwu przeciwstawić usiłuje. — Jakiż jest w niej udział wasz, panowie uczeni, literaci i wy wszyscy, „którym więcej dano?... Niestety, bardzo nikły albo wprost żaden. Jednym z was zabroniono należeć do „zamaskowanej endecji”, któremu to zakazowi zbyt kornie poddaliście się, drudzy spośród was, choć niezależni — lękają się jej poprostu — lepiej że nie powiem — dlaczego [1]). A tymczasem ta „Akcja Katolicka” to może jedyna deska ratunku dla zagrożonego dziś świata wiary i kultury. Może to ostatnie wołanie proroka Jonasza: „jeszcze 40 dni, a Niniwa będzie zburzona”. Czyż nie słychać już dziś wyraźnie pomruków zbliżającego się kataklizmu?

Nuże tedy warstwo inteligencka, polska i katolicka, nietylko młodsza - akademicka, lecz i starsza, śpiesz do pomocy nam kapłanom, stawaj odważnie na szańcach najbardziej zagrożonych! Dziś więcej niż kiedykolwiek ewangieliczną musisz być i ty!

Ks. prałat P. KRYSIAK

NAUKA i LITERATURA

REWELACYJNA KSIĄŻKA

UKAZAŁA się w handlu księgarskim książka znanego chlubnie publicysty Jędrzeja Giertycha p. t. „Tragizm losów Polski”, dająca czytelnikowi pogląd na nowoczesne dzieje Polski. Rzecz oparta jest na najnowszych zdobyczach wiedzy historycznej. Poraz pierwszy w jednolitym poglądzie na nasze dzieje uwzględnione zostały rewelacje tych śmiałych badaczy, którzy przeniknęli tajniki podziemnych związków międzynarodowych i żydostwa, jako sił sprzysiężonych na dezorganizowanie Polski w interesie żydów i mocarstw sąsiednich.

Praca Giertycha jest popularna, raczej publicystyczna, niż ściśle naukowa, wszakże oparta na dokumentach, rzucona zaś została polskiej powszechności i światu naukowemu jako snop światła na drogę dziejów, aby nikt odtąd nie mógł się tłumaczyć, że prawda nie była mu znana.

Giertych ma koło siebie cały zastęp współpracowników, których pracy zawdzięcza możność uczynienia syntezy tak bardzo interesującej i zostawiającej po sobie wielkie wrażenie. Wydanie tego systematycznego wykładu poczytać mu należy za wielką zasługę.

Dzieło Giertycha to gruby tom (638 stron), składający się z czterech części: 1) Załamanie się dążeń mocarstwowych i upadek Państwa (Początki tajnych związków, czasy „Potopu“, Sobieskiego, rozbioru, insurekcja); 2) Polska pod zaborami (epoka napoleońska, powstania); 3) Polska na drodze do niepodległości (ruch narodowy wszechpolski, wojna, traktat wersalski, ryski); 4) Polska odbudowana (Polska przedmajowa, rządy „sanacji”, kryzys).

Wykład Giertycha jest jasny i potoczysty, daje się czytać, jak opowieść, złożona z drobnych szkiców.

Cena bardzo niska, bo wynosi tylko zł. 5.50.

Książkę wydał „Pielgrzym” w Pelplinie, tam jest skład główny. Nabywać ją można we wszystkich księgarniach.

---

[1]) Rzecz prosta, że nie mówię tu do tej „inteligencji”, która idzie do „frontu ludowego”.

RUCH PRAWNICZY, EKONOMICZNY I SOCJOLOGICZNY

OPRÓCZ zwykłych działów cenny ten kwartalnik (Kw. I, 1936, 1) zamieszcza artykuł d-ra Hansa Kelsena, profesora Instytutu Wyższych Studjów Międzynarodowych w Genewie p. t. „Dyktatura Partji", w którym pisze:

„Demokracja, przynajmniej parlamentarna, jest ze swej istoty państwem wielopartyjnem. Państwowe akty woli tworzą się w wolnej konkurencji interesów grupowych, zorganizowanych w partje polityczne. Dlatego właśnie demokracja tylko tak długo jest możliwa, póki kompromis między przeciwstawnemi interesami grupowemi może dojść do skutku. W innym razie demokracja grozi przejściem do swego przeciwieństwa, do autokracji. Taką autokracją jest bolszewizm, w którym partja zastępuje interesy proletarjatu i nietylko zwraca się przeciwko partjom dotychczasowym, lecz także przeciwko innym proletarjackim, analogiczną autokracją jest faszyzm, który przedstawia typ burżuazyjnej w odróżnieniu od proletarjackiej dyktatury partyjnej". Określenie podobne świadczy, że profesor nie rozumie, czy też nie chce rozumieć idei faszyzmu, dalekiej od burżuazyjnego światopoglądu.

Dyktatura partyjna, która doszła do władzy na drodze rewolucyjnej, albo legalnej oznacza zawsze całkowite zerwanie z poprzedzającym demokratycznym lub z nim spowinowaconym systemem monarchji konstytucyjnej. Wyraża się to przedewszystkiem w całkowitem zniesieniu wolności osobistej i politycznej. Wszystkie dla demokratycznego państwa praworządnego charakterystyczne instytucje, broniące jednostkę przed samowolą organów państwowych czy nawet partyjnych, zostają usunięte albo tracą faktycznie swą skuteczność.

Również niema w tym systemie politycznym miejsca dla rzeczywistego uczestnictwa rządzonych, w powstawaniu ustaw, a przynajmniej norm ogólnych. O ile wogóle istnieje kolegjalny organ ustawodawczy obok kierownictwa partji, zespolonego z rządem państwa, wtedy albo członkowie parlamentu takiego są wprost mianowani przez to kierownictwo, albo też wybory są tak dalece pozbawione wolności, że równają się nominacji.

W ideologji bolszewizmu nie duma narodowa, lecz świadomość, że się jest bojownikiem o postępowe i sprawiedliwe ukształtowanie społeczeństwa, schlebia miłości własnej jednostki i pozwala ponosić ciężkie ofiary, których od niej żąda dyktatura.

Faszyzm, odrzucając socjalistyczne stanowisko walki klasowej, nie przedstawia siebie jako panowanie klasy, jak bolszewizm, lecz wręcz przeciwnie uważa się za przedstawiciela całego, w nim zjednoczonego narodu. Zewnętrzno-politycznie mają obie dyktatury dążenia imperjalistyczne. Jak faszyzm na niższą wartość innych narodów, bolszewizm powołuje się na mniejszą wartość ich społecznego porządku.

Obie dyktatury niszczą nietylko wolność polityczną, lecz przedewszystkiem i ze szczególną energją wolność ducha.

Faszyzm o ile włącza do swej ideologji zasadę rasy, jak to czyni niemiecki socjalizm narodowy, o ile przejawia tendencje antysemickie musi, zdaniem Kelsena, popaść w konflikt z chrześcijaństwem, które wyszło z żydostwa. Argumenty podobne o ile mogłyby być zrozumiałe w ustach płatnego agitatora, o tyle budzą niesmak, gdy są przytoczone przez profesora w poważnem czasopiśmie. Jak dyktatura proletarjatu jest zniewolona ze względów politycznych i technicznych do bardzo poważnego odstąpienia ideału socjalistyczno-autoratywnej gospodarki planowej, tak i dyktatura burżuazyjna jest zmuszona istniejący system kapitalistyczny, który opiera się na prywatnej własności środków produkcji i na wolnej konkurencji, utrzymać z pownemi reformami, bez których tego systemu nie można już dłużej zachować W tym kierunku podejmuje się liczne i bardzo poważne usiłowania.

Nie wydaje się więc wykluczone, że faszyzm, jako forma polityczna, którą burżuazja przyjmuje w walce klasowej, okaże się koniec końców jedynie drogą, którą na miejsce gospodarczej anarchji kapitalizmu przyjdzie planowo uporządkowane gospodarstwa kolektywne, ów rdzeń idei socjalistycznej.

Należy mieć żal do autora, że w swoim artykule nie okazał się tyle bezstronnym, żeby zaznaczyć, iż idea nacjonalizmu nie jest ściśle związana z dążeniem do dyktatury i tłumieniem wolności ducha.

GUSTAW ZABŁOCKI

RUCH WYDAWNICZY

Janusz Stępowski „Gdynia". Deklamacje, śpiewy, tańce i pieśni kaszubskie. Inscenizacja Wandy Tatarkiewicz-Matkowskiej, ilustracja muzyczna Wład. Macury, rysunki Adama Siemaszki, wielobarwna akwarela Bol. Surały. Warszawa (1936). Wyd. Ligi Mor. i Kol.

Młody poeta - marynista, autor poematu „Legenda o masztowej sośnie", podaje materjał teatralny do urządzania wieczornic czy też akademij morskich, utwory poetyckie przeznaczone do deklamacji, rady i reżyserskie wskazówki tyczące inscenizacji, i kompozycje muzyczne w postaci nut. Książkę otwiera ładny wiersz. J. Stępowskiego o historji Gdyni, poczynający się od słów, „Tyle wieków daleka, nikomu nieznana, byłaś wioską rybacką i w słonecznym blasku wstydziłaś się, żeś mała i biednie odziana w szarą suknię uszytą z nadmorskiego piasku. W Krakowie i w Warszawie Królom dzwony grały, a tobie tylko pole"... Później, w dalszym tekście wiersza, strofa „Aż nagle... pogłos trąbki rozległ się: Skrzydlaty, wniebowzięty, rósł echem na falach przystani!.. Wybiegli starce, dzieci — wszyscy ludzie z chaty: — Toż to polscy żołnierze!... Ułani! ułani!"

W dalszym ciągu książki tekst misterjum harcerskiego, pieśni i nuty muzyczne. (A. W.)

*

Jako 188 nr. „Bibljoteki książek różowych" ukazała się powieść dla młodzieży p. Marji Juszkiewiczowej p. t. „Chłopiec z Czodża-Goja".

Z rzadką u nas znajomością głębokiej prowincji japońskiej dano nam tutaj niefałszowaną, jakkolwiek w przystosowaniu do młodego wieku, egzotykę barwnego Wschodu. Autorka, bynajmniej nie debiutująca na tem polu, z dużą swobodą poruszająca się w pełnym delikatnego wdzięku „Kraju Wschodzącego Słońca", i tym razem nie zawiodła naszych nadziei.

Wzruszająca historja młodego chłopca, zagubionego podczas rewolucji bolszewickiej przez rodziców Polaków na dalekim Zabajkale, a przygarniętego przez dobrych ludzi, dzięki którym znalazł się w Japonji, w chacie prostego górala — jeszcze raz przekonywa młodocianych czytelników o nadprzyrodzonej opiece nad nimi.

Tobi, bo tak nazwano w przybranej ojczyźnie chłopca, nie znając jego prawdziwego imienia, i jego pies—Inu, biały, kudłaty owczarek, tworzą żywą i zrozumiałą grupę dla każdego, kto czytał choćby takiego „Beldonka".

W książce pomieszczono dodatkowo dwa jeszcze opowiadania: „Mądra sowa" i „Boginka i Kodama". Pierwsze pod, mimowolnym zapewne, wpływem lektury Kiplinga. Drugie, wyraźniej oryginalne, interesujące ze względu na refleks demonologji wschodu, oczywiście w dziecinnych dawkach. Dobra szata graficzna, trafne rysunki p. Haliny Maszyńskiej. Całość godna polecenia. (ST. J.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

W PRYWATNYM SALONIE, przy ul. Kredytowej 2/4, otwarto wystawy prac Leokadji Bielskiej i J. M. Sokołowskiego.

Nie piszę obecnie w „Myśli" o takich drobnych wystawach, to też muszę wyjaśnić, co mnie skłania do zabrania głosu, w sprawie akwafort z Krzemieńca, p. Bielskiej. P. Bielska, korzystając z zasiłku Funduszu Kultury Narodowej przebywała w Krzemieńcu i wykonała tekę akwa-

fort, widoków tego miasta. Sprawdźmy, jak się ze swego zadania wywiązała?

Sztuka akwaforty posiada tradycje o bardzo zdecydowanym charakterze. Impresjonizm zwrócił się ku tej technice graficznej, jakby specjalnie dla niego stworzonej, pozatem wielu najznakomitszych artystów przeszłości (np. Rembrandt) stosowało ją w sposób, bliski pojęciom i upodobaniom impresjonizmu. Te świetne przykłady sugerowały nieraz współczesnych utalentowanych artystów, znam kilka osób, które parając się akwafortą, za mistrza obrały sobie Rembrandta, chociaż bynajmniej nie miały zamiaru nawiązywać do sztuki XVII-go wieku.

Okoliczności te, aczkolwiek ukazują wygodny, solidny i zdawna uczęszczany gościniec, bynajmniej nie przesądzają sprawy wynalezienia dla akwaforty jakiegoś nowego, odpowiadającego współczesności, sposobu wypowiedzi. Wydaje mi się, że p. Bielska, nie zbaczając na utarte gościńce, zapragnęła poszukać własnej dla siebie dróżki. Własny język, którego nieśmiałe zaczątki odkrywamy w paru fragmentach, będzie zapewne odpowiedni do niektórych tylko plastycznych tematów. Bowiem wystawione ryciny artystki można podzielić zgrubsza na dwa rodzaje. Jedne umieścimy w rubryce: widoki ogólne miasta, drugie wyobrażają drobne jego wycinki, fragmenty: domu, podwórza, uliczki. Zamiar wydania teki Krzemieńca skłaniał artystkę ku tym widokom ogólnym, jako bardziej wiernym dokumentom przeznaczonej do otworzenia rzeczywistości. Natomiast rodzaj temperamentu artystycznego prowadził raczej ku osobistym odczuciom fragmentów. Lecz widoki ogólne miast, oddane techniką graficzną, która nie zna bardziej uogólniającej plamy, muszą traktować temat spokojnie i rysunkowo, bardziej ściśle i wiernie notować szczegóły całości.

Jak już wspomniałem, temperament artystki ciągnie ją w inną stronę. Dziś nie można jeszcze wyrobić sobie opinji o Bielskiej akwaforcistce; w każdym razie wystawione ryciny świadczą o tem, iż dalej powinna pracować w tym kierunku.

WIKTOR PODOSKI

FILM

MAJESTIC: „Potępieniec“, reż. John Ford.

Niepodobna tego filmu pominąć milczeniem, gdyż posiada spore wartości formalne, wiele fragmentów mocnych i wyrazistych, a jednocześnie jego treść budzi w nas kategoryczne sprzeciwy. Ponieważ „robota“ filmu jest dobra, ci, którym to wystarcza, skłonni są widzieć w nim niemal arcydzieło, nam jednak sama ocena walorów filmowowizualnych nie wystarcza, gdyż ten utwór ma także pretensje i ambicje innej natury. Wydaje się mianowicie jego autorowi, iż stawia tu i rozstrzyga pewne zagadnienia, ukazuje rozwój i przebieg jednego z dramatów, jakie mogą stać się udziałem jednostki ludzkiej.

Już sam „styl“ filmowy utworu jest niejednolity. Zaczyna się, przy zwolnionem tempie, wygrywaniem treści maskami twarzy w zbliżeniach, co przypomina filmy sowieckie. Dalej, w bardzo mocnej scenie, widzimy przestępcę, który dla otrzymania nagrody wydał policji swego przyjaciela, jak wobec rodziny pojmanego i zabitego gubi kilka monet i prawie obłąkany ze strachu myśli, iż wszyscy domyślają się co to są za pieniądze. Wydaje nam się, że zobaczymy tu tragedję Judasza.

Następne sceny nie ujawniają jednak dalszych dramatycznych komplikacyj w psychice zdrajcy, wszystko się gubi, rozłazi i zatraca w obrazach wędrówek i pijatyki po szynkach i domach publicznych, w amerykańskiej brawurowej kotłowaninie po schodach, zasadzkach, strzelaninie i t. p. perypetjach „bohaterów“ filmów gangsterskich. Nie są to wcale dramatyczne dzieje człowieka, który się oderwał od gromady — jak zapowiada prolog — lecz obraz świata przestępczego. Znam takich, co powiadają, że to nie bandyci, tylko Irlandczycy w walce z Anglikami, a bandytów przypominają tylko dla niepoznaki, żeby się ambasada angielska w Warszawie nie obraziła. Wolne żarty: Jeśli tak jest naprawdę, to nie Anglja, a sami Irlandczycy, przedewszystkiem, powinni wytwórnię, która wypuściła ten film, pociągnąć do odpowiedzialności sądowej, że ich tak przedstawiła.

Zaprotestować także musimy jaknajbardziej stanowczo przeciw zakończeniu filmu akordem religijnym (matka przebaczająca w kościele zdrajcy jej syna), co jest niczem innem, jeno przykrywką dla prawdziwych, a zgoła innych upodobań autorów podobnych filmów. Chcecie robić sensacyjne filmy gangsterskie, to róbcie, ale Pana Boga do tego mieszać nie trzeba.

W głównej roli, Victor Mac Laglen, stworzył wspaniałą postać człowieka — zwierzęcia, o pierwotnych instynktach. Jest to znakomita, jakby w granicie rzeźbiona, kreacja aktorska.

STYLOWY: „Załoga“, film francuski.

Piękny film o bohaterstwie żołnierzy. „Załoga“ to dwu ludzi: pilot i obserwator na samolocie. „Załoga to więcej niż bracia“ — mówi o sobie i swym towarzyszu, starszym od niego pilocie, młody chłopak, obserwator. Film wyjaśnia nam, jak powstaje ta miłość, w jakich się rodzi okolicznościach.

„Sposobność zapoznaje nas z innymi, a i z samymi sobą“ — powiada, zdaje mi się, La Rochefoucauld. Jest rzeczą znamienną, iż pewne piękno duszy człowieczej tylko wojna wydobywa na jaw.

W bieg zdarzeń tej opowieści filmowej wpleciona jest także postać kobieca. Ale nie dlatego, by zadość uczynić przekonaniom tych producentów, którzy sądzą, że „bez miłości i kobiety film nie będzie miał powodzenia“. To, co w zwykłych okolicznościach stałoby się banalnym trójkątem małżeńskim, tu, dla dusz oczyszczonych w ogniu walki, urasta do wyżyn dramatu. W pewnym momencie, gdy kobieta (żona pilota) nazbyt jest jeszcze kobietką, gdy zbyt długo i niepotrzebnie błąka się między żołnierzami (scena nieprawdopodobna) mamy przez chwilę obawę, że film zboczy na niewłaściwe tory romansu. Obawę, na szczęście, niesłuszną. W filmach amerykańskich usłużny reżyser uśmierca zazwyczaj męża, by kochankowie mogli gruchać bez przeszkód, co się nazywa *happy end*. Tu umiera w walce lotniczej kochanek, młody chłopak, który przez tragiczny zbieg okoliczności, nie wiedząc o tem, wtargnął w życie rodzinne przyjaciela.

Film o pięknej i niebanalnej treści został też bardzo dobrze zmajstrowany i posiada wiele wizualnych wartości. Dobrze również została pomyślana strona dźwiękowa filmu. Początek, wygrany urywkami obrazów, nadzwyczaj udatnie odtwarza atmosferę dworca kolejowego, niecierpliwy i nerwowy zgiełk odjazdu. Ci, którzy wzdychają za zmarłym filmem niemym, niechże się zastanowią, czem byłaby ta scena bez dźwięku? Reżyser interesująco potraktował także sceny walk powietrznych, wplatając w nie grę walorów plastycznych „terenu“ walki lotniczej — że się tak wyrażę — obłoków, chmur, światła i bezmiaru.

Jeszcze jedna uwaga. Pod koniec filmu, przy bardzo pięknej i naprawdę wzruszającej scenie w szpitalu, słychać na sali podejrzane siąkania nosem. Po zapaleniu światła, wszyscy wstydliwie dźwigają głowy. Dziwni są ludzie, doprawdy. Czyż mamy się wstydzić tego, że wzruszył nas obraz cnoty, męstwa i wielkości duszy człowieczej, obraz, działający wyrazistością swej formy artystycznej?

FILHARMONJA: „Nie zapomnij o mnie“, film niemiecki.

Ozdobą tego filmu jest śpiew znakomitego tenora, Benjamino Giglii. Głos ten przemawia do nas nie potęgą, ale raczej słodyczą swego brzmienia, w dobrem tego słowa znaczeniu. Doświadczenie wykazało, iż najlepszem tłem dla śpiewaka na ekranie jest film wesoły, którego pogodna i żywa akcja stanowi niejako klapę bezpieczeństwa, wobec całkiem niefilmowych walorów śpiewu. Ten film kroczy inną drogą i chce być poważny. Pozatem można o nim powiedzieć, tak jak się mówi o niektórych ludziach: orłem to on nie jest, ale zato bezwzględnie uczciwy.

KANDYD

POKŁOSIE

KONIEC RADOSNEJ TWÓRCZOŚCI

JEŚLI ktoś przypisuje wagę do ścisłego ustalania dat pewnych wydarzeń, to ma teraz sposobność do zanotowania takiej daty, bo nie może ulegać wątpliwości, że dnie wydania dekretów, znoszących wolność obrotu dewizami oraz wprowadzających zakaz sprowadzania towarów z zagranicy stanowią datę formalnego zamknięcia epoki t. zw. radosnej twórczości. Z niczem nie hamowanego rozmachu spadamy bowiem od tej chwili na samo dno ograniczeń i zaciskania pasa do tego stopnia, że nawet książki czy gazety nie można z zagranicy sprowadzić bez pozwolenia.

Zaczęło się to istotnie beztrosko. Pamiętamy pierwszego pomajowego premjera prof. Bartla, jak upojony widokiem znakomitych wykresów, sporządzonych na użytek sejmu przez zdolnych kreślarzy rządowych, wykrzyknął sławne swe, godne przypominania przy każdej sposobności: „Polskę stać na ujemny bilans handlowy". Obok niego należy postawić drugiego ministra rządów sanacyjnych, p. Jędrzeja Moraczewskiego, któremu też nie należy zapominać jego mowy na poświęceniu elektrowni w Poznaniu, gdzie powiedział, że rząd któryby nie wydał nagromadzonych zapasów kasowych (600 miljonów złotych) zasługiwałby na to, żeby go *in corpore* postawić pod murkiem i rozstrzelać!

Rządy „sanacyjne" z tego powodu na rozstrzelanie nie zasłużyły. Wydały nietylko owe 600 miljonów, ale jeszcze wiele więcej, jednak nawet największy zwolennik impetu musi zapytać: dobrze, ale czego za te pieniądze dokonano? Czy może zapewniono fundusze i poważnie posunięto roboty przy regulacji Wisły, pracy, której koszt właśnie oceniono na sumę 600 miljonów i która czeka na wykonanie? Czy może osuszono bagna poleskie, czego koszt jest nawet mniejszy (około 400 miljonów) i dostarczono przeludnionej wsi polskiej setek tysięcy hektarów nowej, zdatnej do kultury ziemi? Czy przeprowadzono za tę sumę kilkadziesiąt tysięcy kilometrów nowoczesnych szos, lub kilka tysięcy nowych dróg żelaznych, zbliżając w ten sposób Polskę do stanu zagospodarowania państw zachodnich, podnosząc możliwości zarobkowe ludności i wzmagając obronność państwa? Czy może wreszcie zbudowano szkoły w takiej liczbie, żeby narastające miljony dziatwy miały gdzie nauczyć się chociażby tylko czytania, pisania i rachunków? Czy zabezpieczono kraj, zwłaszcza w okolicach górskich przed powodziami, budując zbiorniki retencyjne?

Każde dziecko odpowie, że nic podobnego nie uczyniono. Wisła, wspaniała linja komunikacyjna, przebiegająca przez środek całego kraju, pozostaje nadal jedyną bodaj dziką rzeką w Zachodniej i Środkowej Europie i zamiast oddawać ludności przysługi, naraża ją co rok na straty, w niektórych latach wprost katastrofalne. Na projektowaną pierwszą większą przegrodę na Dunajcu, mającą zabezpieczyć od powodzi duży szmat kraju i dostarczyć taniej energji elektrycznej, szukamy jak dotychczas bez większego powodzenia pieniędzy zagranicą, mimo iż kosztorys wynosi tylko 70 miljonów, mieści się więc kilkakrotnie w owych 600 miljonach p. Moraczewskiego.

O drogach, o kolejach niema co mówić, miljon dzieci w wieku szkolnym pozostaje bez nauki z braku szkół, a na nieszczęsnych Poleszuków musimy zbierać składki, bo tam im pogniło, czy przepadło w inny sposób siano, do którego przez bagna nie mogli się dostać.

Taki jest stan inwestycyj po okresie tej radosnej twórczości, inwestycyj o których pilnej konieczności wszystkie wróble na dachu oddawna ćwierkają. Cóż więc za te pieniądze zrobiono? Pewno, tu i owdzie coś wystawiono, czasem jakiś pałac reprezentacyjny, czasem ministerstwo, którego już niema, czasem przeszło setkę gmachów, jak w Chełmie, z któremi nie wiadomo co zrobić. Ale *gros* rozpierzchło się po jakichś drobnych wydatkach, rozlazło się poprostu między palcami przez niekontrolowane luzy, bez żadnego pożytku ogólnego, chociaż może nie bez indywidualnego.

Taki jest bilans okresu radosnej twórczości, przedsięwziętej przez „konną cyganerję" jak się ktoś wyraził. Najznakomitszy, aczkolwiek nieco improwizowany ekonomista tego obozu, pułk. Matuszewski, doszedł po kilku latach studjów do przekonania, że dobrze byłoby, gdyby się w czasach tłustych zaoszczędziło nieco środków na lata chude, ale niestety ta rewelacja przyszła zapóźno i koledzy pułkownika, którzy teraz są przy władzy, musieli chwycić się tak drastycznych środków, jak wspomniane na wstępie dekrety, likwidujące dotychczasową politykę.

P. Matuszewski wycofuje się obecnie z działalności ekonomiczno-publicystycznej. Napisał w „Gazecie Polskiej" pożegnalny artykuł, w którym zapowiada swoje milczenie, przynajmniej na czas pewien, żeby nie przeszkadzać nowym poczynaniom. Złośliwi twierdzą, że ta wstrzemięźliwość jest dyktowana względami na komorników, którzy jako element lojalny i na opozycyjne stanowiska wrażliwy, mogliby się łacno przestać w „Gazecie Polskiej" ogłaszać. Ale to są oczywiście intymne sprawy domowe. Nas obchodzi ten akt pułkownikowskiego organu tylko jako oznaka tego, że pewna część „sanacji" która dotychczas rządziła i do takich rezultatów doprowadziła, cofa się teraz na plan dalszy, na pierwszy zaś wysuwa się inna część tego obozu, która dotychczas była może bierniejsza, bo mniej wpływowa, jednak wszystko aprobowała i ze wszystkiego korzystała; ponosi więc odpowiedzialność na równi z innymi i łudzi się, jeżeli sądzi, że społeczeństwo o tem zapomni.

Bo jak ze wszystkiego widać, ten żałosny koniec ich polityki nie zniechęca dzielnych mołojców. P. Matuszewski traktuje we wspomnianym już artykule zakaz obrotu dewizami tylko jako zasłonięcie przez rząd pewnego barometru, pozwalającego szybko stwierdzić, czy obrana polityka jest dobra czy zła; daje to rządowi, jak powiada, więcej swobodnego czasu. O tem, że mimo istnienia tego niezasłoniętego barometru „sanacja" nań dotychczas nie spoglądała i prowadził swoją politykę, aż zapas złota w Banku Polskim spadł do 380 miljonów, ekonomista sanacyjny nie wspomina ani słowem. Widocznie więc było wszystko uważane za dobre.

ARGUS

NA MARGINESIE

Autentyczne.

— Moja pani, co to znaczy z tem złotem, że to niby niewolno zagranicę, to znowu towarów nie będzie... Coś takiego!...

— Ja pani powiem—to jest dewiza waluty.

— Aha, teraz rozumiem.

*

Mafja lewicowa, która opanowała Związek nauczycieli szkół powszechnych i „sanację" daje w „Głosie Nauczycielskim" takie dyrektywy kierownikom polityki szkolnej:

> „Podobno istnieje plan szerokiej akcji, w której wyniku półtora miljona bezszkolnej młodzieży poddanoby wychowawczemu wpływowi prywatnej instytucji, utrzymywanej przez sfery reakcyjne i to za cenę elementarza, za cenę udzielenia tej dziatwie „sztuki pisania i czytania", jako maksymalnego programu nauczania. Wprowadzenie w życie takich niezwykłych zamiarów wprawdzie nie jest sprzeczne z literą prawa i nawet ze względów budżetowych chwilowo wygodne, godzi jednak w głębiej pojęte dobro Państwa. Tego rodzaju tranzakcja bowiem jest rezygnacją Państwa z wpływu na kształtowanie się przyszłości kulturalnej i politycznej Polski".

Oto sytuacja, w jakiej znalazła się myśl wychowawcza, zmącona przez „sanację". Naród i rodzina w głupich głowach „radykałów" stały się postrachem jako niebezpieczeństwo, grożące Państwu. Polska nie zasługuje na takie upokorzenie, aby miała odbierać dyrektywy w sprawie kultury od zbolszewizowanych pół-inteligentów.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**.
Konto czekowe na P. K. O. **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.